

WŁADYSŁAW

STANISŁAW

REYMONT

KOMEDIANTKA

Władysław Stanisław Reymont

Komediantka

«Public Domain»

Reymont W.

Komediantka / W. Reymont — «Public Domain»,

Historia młodej dziewczyny, która w pogoni za wolnością i w poszukiwaniu samorealizacji postanawia zostać aktorką. Janka Orłowska z Bukowca, bohaterka powieści „Komediantka” (1896), ma dość życia w małym, szarym miasteczku i podporządkowywania się decyzjom ojca. Chcąc odmienić swoje życie, odchodzi z domu i wstępuje do grupy teatralnej. Praca na scenie wydaje się być spełnieniem jej marzeń, ale rzeczywistość ma niewiele wspólnego z wyobrażeniami. Okazuje się, że bez wybitnego talentu i znajomości w środowisku nie da się wiele osiągnąć. W wyniku niepowodzeń Janka dochodzi do punktu krytycznego. Powieść powstała na podstawie osobistych doświadczeń teatralnych Reymonta oraz prowadzonych przez niego obserwacji.

© Reymont W.

© Public Domain

Содержание

I	6
II	22
III	32
IV	46
Конец ознакомительного фрагмента.	49

Władysław Stanisław Reymont

Komediantka

Maryanowi Gawalewiczowi

Autor.

I

Bukowiec, stacya kolei dąbrowskiej, leży w przepysznem miejscu!... Wycięto krętą linię pomiędzy wzgórzami, okrytymi bukiem i sosną, i w punkcie najrówniejszym, pomiędzy olbrzymią górą, sterczącą nad lasami nagiemi łysinami skal zwietrzałych, a długą i wązką dolinką, pełną wód i błot zarosłych – postawiono stacyę. Dworzec z cegły nietynkowanej, jednopiętrowy, z mieszkaniami zawiadowcy i jego pomocnika na piętrze, drewniany domek z boku dla telegrafisty i niższej służby, drugi taki sam, tuż przy ostatnich wekslach dla dozorczy drogowego, trzy budki strażnicze w różnych punktach terenu stacyjnego, rampa odkryta do ładowania towarów stanowiły wszystko.

Las był za dworcem i las szumiał przed dworcem. Kawał niebieskawej opony powietrza, zarzuconej szarawami chmurami, roztaczał się w górze, niby dach rozciągnięty szeroko.

Słońce podnosiło się ku południowi, świeciło coraz bielej i coraz lepiej dogrzewało; rude zbocza kamienistej góry, o poszarpanym, jakby porytym gwałtownie przez wiosenne potoki, szczycie, opłynięte były światłem słońca.

Była cisza wiosennego południa. Drzewa stały bez ruchu i bez szmeru. Zielone, ostre liście buków zwieszały się jakby senne i upojone światłem, ciepłem i ciszą.

Ptaki odzywały się z rzadka w gęstwinie leśnej, tylko krzyk wodnego ptactwa z błot i ciche brzęczenia komarów dzwoniły w powietrzu.

Nad długą, mocno błękitną linią szyn, ciągnących się nieskończonym łańcuchem w skrętach i zygzakach, mieniło się fioletem rozpalone powietrze.

Z kancelaryi zawiadowcy stacyi wyszedł niski, kwadratowy, o jasnej, prawie konopnej czuprynie, człowiek. Był ubrany, a raczej wciśnięty w surdut elegancki, kapeluszczyk trzymał w ręku i kładł palto, które mu podawał robotnik.

Zawiadowca stał przed nim, gładził długą, siwą brodę ruchem automatycznym i uśmiechał się przyjaźnie. Był tak samo krępy, silnie zbudowany i rozrosły w ramionach, i tak samo, z oczu błękitnych, błyskających wesoło pod rozrośniętymi brwiami i czołem kwadratowym, wyzierała mu stanowczość i silna, nieugięta natura. Nos prosty, usta bardzo pełne i pewien sposób ściągania brwi i spoglądanie proste, uderzanie oczyma, niby sztyletem, znamionowały gwałtowny charakter.

– Do widzenia, do jutra!... – powiedział blondyn wesoło, wysuwając dużą rękę do pożegnania.

– Do widzenia! No, daj pyska... Jutro zapijemy mohorycz!

– Boję ja się trochę tego jutra...

– Śmiało chłopcze! Nie bój się, ja ręczę słowem za dobry skutek. Powiem zaraz Jani o wszystkim... Przyjedziesz jutro do nas na obiad, oświadczysz się, zostaniesz przyjęty, za miesiąc ślub... i będziemy sąsiadami... hej!... Kocham cię, panie Andrzeju! Zawsze marzyłem, żeby mieć takiego syna; nie mam! trudno... to choć zięcia mieć będę!...

Ucałowali się serdecznie; młody wsiadł w lekką, górską bryczkę, czekającą na podjeździe i ruszył ostro wążutką drożynką przez las. Obejrzał się, ukłonił jeszcze kapeluszczykiem, przesłał potem drugi ukłon głębszy do okien pierwszego piętra i zniknął w cieniu lasu. Potem zeskoczył z bryczki, kazał furmanowi jechać, a sam poszedł na przełaj.

Zawiadowca, skoro tylko mu tamten zniknął z oczu powrócił do kancelaryi i zajął się załatwianiem urzędowych korespondencyi.

Był bardzo zadowolony z prośby Grzesikiewicza o rękę córki; przyrzekł ją, będąc najpewniejszym, że ona się zgodzi.

Grzesikiewicz, choć nie porywał pięknnością, ale był bardzo rozumny i bardzo bogaty. Lasy, w których stała stacya i kilka sąsiednich folwarków były własnością jego ojca.

Stary Grzesikiewicz był to chłop przedewszystkiem, który z karczmarza przedzierzgnął się na handlarza, i na porębach leśnych i handlu opasami dorobił się krociowego majątku.

Jeszcze dużo ludzi w okolicy pamiętało, że stary nazywał się za młodu Grzesik. Pokpiwano sobie nieraz z tego, ale nikt mu za złe nie brał zmiany nazwiska, bo się nie sadził na pańskość i nie świecił nikomu brutalnie swoją fortuną.

Był chłopem i, pomimo wszystkich zmian, pozostał chłopem nawskróś. Syn odebrał staranne wykształcenie i teraz pomagał ojcu. Przed dwoma laty poznał córkę zawiadowcy po jej powrocie z gimnazjum kieleckiego, i zakochał się w niej gwałtownie. Stary mu nie przeszkadzał, tylko powiedział prosto, że jeśli chce, to niech się żeni.

Z panną widywał się często, zakochiwał się w niej coraz głębiej, ale nigdy nie śmiał mówić o miłości. Była dla niego bardzo uprzejma, bardzo mu rada, ale przytem taka dziwnie prosta i otwarta, że jemu zawsze słowa uczucia i wyznania zatrzymywały się ustach.

Czuł w niej jakąś wyższą rasę kobiet, niedostępną dla takich „chamów”, jak się nieraz sam nazywał otwarcie, ale właśnie przez to chamstwo swoje, kochał ją tem więcej jeszcze.

Wreszcie zdecydował się powiedzieć o tem jej ojcu.

Orłowski go przyjął z otwartemi rękoma i z góry z całą swoją bezwzględnością, zapewnił słowem, że wszystko będzie dobrze. Myślał teraz, że przecież i Janka mu nie odmówi, że musiała już o tem mówić z ojcem.

– Dlaczegożby nie! – szeptał.

Był młodym, bogatym, no – i kochał ją bardzo.

– Za miesiąc ślub!... – dodawał szybko i czuł się tak uradowanym, że leciał przez las szybko, obłamywał gałęzie drzew, kopał stare, spróchniałe pnie, strącał główki grzybom wiosennym i pogwizdywał, uśmiechając się z zadowolenia matki, skoro jej tylko powie o tem, bo matka jego gorąco pragnęła tego małżeństwa.

Była to stara chłopka, która prócz stroju nic nie zmieniła pod wpływem pieniędzy ze swoich obyczajów i myśli. O Jance myślała, jak o królowej. Było to jej marzeniem mieć za synową panią prawdziwą, szlachciankę, któraby jej imponowała pięknnością i wyższem urodzeniem, bo mąż i jego pieniądze i szacunek, jakim ją otaczano w okolicy, nie wystarczały jej. Czuła się zawsze chłopką i wszystko przyjmowała z niedowierzaniem prawdziwie chłopskiem.

– Jędrus! – mówiła nieraz synowi – Jędrus, ożeń się z panną Orłowską. To pani! Jak spojrzy na człowieka, to jaże mrówki łażą ze strachu po skórze i chciałoby się jej do nóg pokłonić i prosić o co... Dobra być musi, bo ile razy spotka się z ludźmi w lesie, to pochwali Boga, porozmawia, dzieci pogłaska... jensza-by tego nie umiała! Zawdy co ród, to ród. Posłałam jej grzybów koszyczek, to jak me spotkała potem, to pocałowała me w rękę... Mądra ci ona jest, ho! ho! wi, że ja mam synka, kiej malowanie. Jędrus, żeń się. Śpiesz się flisie, póki jest na misie! – dodawała przysłowiem.

Jędrus się zwykle śmiał, całował matkę po rękach i obiecywał prędko skończyć.

– Królownę będziemy mieć, posadzimy ją se w świetlicy! Nie bój się Jędrus, nie dam ja jej rączków umorusać w niczem; będę chodźć kole niej, usługiwać, podtykać wszystko... niech se czyta po francusku ino, albo gra na fortypianie. Na to ona i panią! – ciągnęła dalej matka, rozmarzając się przyszłem swoim szczęściem.

– Stara kobieta jestem. Jędrus, wnuczków mi potrza!... – mówiła często synowi smętnie.

I on był takim samym chłopem w głębi; pod pokostem cywilizowanego człowieka, gładkiego i wykształconego, drżała niepohamowana energia i pragnienie żony – pani. Ten siłacz, co w chwilach uniesienia, sam rzucał na wóz sześciopudowe wory zboża i musiał nieraz robić jak wyrobnik, żeby się zmęczyć i przyciszyć w sobie szalone pragnienie użycia i jakieś burze, podnoszące się w krwi zdrowej i przez dziesiątki pokoleń nie zużytej, – marzył o Jance, przepadał za jej wdziękiem, za słodyczą. Chciał koniecznie pana, któryby go tyranizował swoją słabością.

Leciał teraz przez las, jak wicher, a potem prosto przez pola zieleniejące się młodą runią zbóż jarych, – biegł do matki, powiedzieć jej o swoim szczęściu. Wiedział, że ją zastanie w ulubionej izbie, zawieszanej w trzy rzędy obrazami świętych w złożonych ramach; bo to był jedyny jej zbytek, na jaki sobie pozwalała.

Zawiadowca tymczasem skończył pisać raport jakiś, podpisał go, przeciągnął przez dziennik, wsadził w kopertę, zaadresował do „ekspedytora stacyi Bukowiec” i zawołał:

– Antoni!

Posługacz pokazał się w progu.

– Do ekspedytora! zawołał Orłowski.

Posługacz wziął w milczeniu kopertę i z najpoważniejszą miną w świecie położył ją na stoliku, stojącym z drugiej strony okna.

Zawiadowca wstał, przeciągnął się, czerwoną czapkę zdjął z głowy i przeszedł do tego stolika; włożył zwyczajną czapkę z czerwonymi wypustkami i z powagą odpieczętował ekspedycję pisaną przed chwilą. Przeczytał i na drugiej stronie nakreślił kilka wierszy odpowiedzi, podpisując się znowu; zaadresował „do Zawiadowcy stacyi w miejscu”, i kazał Antoniemu odnieść.

Był to maniak, którego kosztem bawiła się cała droga żelazna. W Bukowcu nie było ekspedytora, więc on spełniał obie czynności, ale przy stoliku zawiadowcy sprawy jedne, a przy stoliku ekspedytora – drugie.

Jako zawiadowca był swoim własnym zwierzchnikiem, więc miał nieraz chwile rzetelnej, iście waryackiej rozkoszy, kiedy zauważywszy jaką omyłkę w rachunkach, jakieś opuszczenie swoje w służbie ekspedytora, pisał raport sam na siebie i monitował się.

Śmiali się wszyscy z niego; nie zważał na to i robił swoje, mawiając na usprawiedliwienie:

– Na porządku i systematyczności opiera się wszystko; braknie tego, wszystko przepada!...

Skończył teraz robotę, pozamykał szuflady, wyjrzał na peron – i poszedł do mieszkania. Nie wszedł przez przedpokój, tylko przez kuchnię. Musiał wszystko wiedzieć, co się robi i jak. Zajrzał do komina, szturchnął w ogień pogrzebaczem, wykrzyczał służącą za rozlaną wodę na podłodze i poszedł do jadalnego pokoju.

– Gdzie Janka?

– Panna Janina zaraz przyjdzie – odpowiedziała Kręska, rodzaj gospodyni i damy do towarzystwa, ładna blondynka o bardzo ruchliwej twarzy.

– Cóż robicie na obiad? – zapytał tym samym inkwizytorskim tonem.

– To, co pan naczelnik tak lubi: potrawka z kurcząt z sosem, zupka szczawiowa, kotleciki...

– Zbytki!... przysięgam Bogu, zbytki!... Zupa i jedno mięso, dosyć chyba dla samego nawet króla! Zrzuńcie mnie, przysięgam Bogu!...

– Ależ, panie naczelniku... umyślnie tylko dla pana dobrodzieja taki obiad kazałam robić.

– Błaga! przysięgam Bogu, błaga... Wam, kobietom tylko w głowach frykasiki, słodyczki, delikatesiki i nic więcej. Wszystko to tylko fiu! fiu!

– Niesłusznie pan naczelnik nas sędzi; oszczędzamy zwykle więcej niż mężczyźni.

– Aha! oszczędzacie, żeby sobie później kupić więcej łachów. Znam to, przysięgam Bogu!

Kręska nie odpowiedziała, tylko zaczęła nakrywać do obiadu.

Weszła Janka.

Było to dziewczyna dwudziestodwuletnia, wysoka, doskonale zarysowana, o szerokich ramionach, spojrzeniu dumnym i imponującym. Rysy miała niezbyt regularne; oczy czarne, czoło proste, trochę za szerokie, brwi ciemne, silnie zaznaczone, nos rzymski, usta pełne i czerwone. Oczy miały wyraz głęboki, jakiegoś wewnętrznego zapatrzenia się w siebie; usta zacinała mocno, co jej nadawało pozór powagi lub złości ukrytej. Dwie zmarszczki głębokie chmurzyły jej jasne czoło. Blond włosy o rudawym odcieniu, przepyszne jako ton, napuszone, osłaniały niby koroną jej głowę okrągłą i małą. Płeć miała złotawą, niby brzoskwinia, głos dziwny; był to alt, brzmiący chwilami barytonem, o męskich akcentach.

Skinęła ojcu głową i usiadła z drugiej strony stołu.

– Był Grzesikiewicz dzisiaj u mnie – odezwał się zawiadowca, wolno rozlewając wszystkim zupę, bo on sam zawsze dzielił i rozlewał przy stole.

Janka spokojnie spjrzała na niego, czekając, co dalej powie.

- Był i prosił mnie o rękę twoją, Janiu.
- Cóż mu pan naczelnik powiedział? – zawołała prędko Kręska.
- Jest to nasza sprawa – odpowiedział surowo. – Nasza sprawa... odpowiedziałem, że dobrze; będzie tutaj jutro na obiedzie, no i rozmówicie się...
- Niepotrzebnie! Kiedy mu ojciec powiedział, że dobrze, to niechaj go sobie ojciec jutro przyjmuje i powie ode mnie, że właśnie jest niedobrze... Nie chcę z nim mówić. Pojadę jutro do Kiele! – odpowiedziała porywczo Janina.
- Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, cebula się rodzi!... przysięgam Bogu! – odpowiedział pogardliwie. – Gdybyś nie była fiksatką, tobyś zrozumiała, co to za człowiek i co to za partya!... że Grzesikiewicz, choć cham, więcej wart dla ciebie od książąt, bo cię chce... a chce cię, bo jest głupi; nie taką mógłby dostać!... Powinnaś mu być tylko wdzięczną. Oświadczy ci się jutro i za miesiąc będziesz Grzesikiewiczową.
- Nie będę Grzesikiewiczową! Kiedy może sobie wziąć inną, niech sobie bierze...
- Przysięgam Bogu, będziesz Grzesikiewiczową!
- Nie! Nie tylko za niego, za nikogo nie pójdę! Nie pójdę wcale za męża, nie chcę!...
- Głupias! – przerwał jej brutalnie. – Pójdiesz, bo potrzebujesz jeść, mieszkać, ubierać się jakoś, być czemś... Ja nie myślę się do reszty zrujnować... a jak mnie zbraknie, to co?...
- Mam swój posąg; dam sobie radę i bez Grzesikiewiczów. Aha, więc ojciec chce mi przez to zamążyć i zabezpieczyć utrzymanie tylko!... – szydziła, spoglądając na niego wyzywająco.
- Tak, przysięgam Bogu!... a dla czegoż innego kobiety wychodzą za męża?...
- Wychodzą z miłości i wychodzą za tych, których kochają.
- Głupias, mówię ci! – krzyknął energicznie, nabierając sobie potrawki. – Miłość, to tylko ten sos, kurczę się zjada i bez niego; sos, to wymysł, głupstwo, nowy przesąd!
- Nikt się nie sprzedaje pierwszemu lepszemu dlatego tylko, że ten ma na utrzymanie!
- Głupias, przysięgam Bogu! Wszystkie tak robią, wszystkie się sprzedają. Miłość, to jest pensyonarskie gadanie, głupstwo, przysięgam Bogu! Nie irytuj mnie...
- Tu chodzi nie o irytację, albo o to, czy miłość jest głupstwem lub nie jest; idzie tu o moją przyszłość, którą ojciec dowolnie się rozporządza. Powiedziałam już ojcu wtedy, kiedy Zielenkiewicz mi się oświadczył, że nie myślę wcale iść za męża.
- Zielenkiewicz, to tylko Zielenkiewicz, a Grzesikiewicz, to pan całą furą; chłop, do rany choćby przyłóż!... serce złote, rozum ma, bo przecież skończył Dublany, mocny jak byk, przysięgam Bogu; taki chłop, co najdzikszego konia utrzyma, co jak parobka onegdaj lunął w twarz, to mu sześć zębów wybił od razu jest ci niedobry! Przysięgam Bogu, ideał, najidealniejszy ideał!
- Wspaniały jest ten ojca ideał: okalecza ludzi, i mógłby się pokazywać w cyrku!
- Ty masz fiksację, jak i twoja matka. Zaczekaj! weźmie cię Jędrak na podwójny mundsztuk i da ci radę... Nie będzie żałował bata.
- Janka gwałtownie odsunęła krzesło, rzuciła łyżkę na stół i wyszła, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.
- Nie gawroń się pani, tylko każ dawać kotlety! – krzyknął na Kręską, która z bolejącą miną patrzyła za Janką; podsunęła półmisek uniżenie i z troską w głosie szepnęła:
- Pan naczelnik rozchoruje się kiedy z tej irytacji.
- Trucizna moja!... – szepnęła przeciągle. – Zjeść nie można spokojnie, tylko wieczne hałasy. Zaczął rozwodzić żale i skargi na upór Janki, na jej charakter i na swoje wieczne z nią kłopoty.
- Kręska przytakiwała mu, podkreślając czasami niektóre szczegóły; dyskretnie żaliła się, że i ona musi znosić wiele, bardzo wiele z jej przyczyny; wzdychała ciężko, pochlebiała mu przy każdej sposobności. Przyniosła kawę, postawiła arak, nalewała mu sama, przystawiała, dotykała się niby przypadkowo jego rąk lub ramienia; spuszczała oczy, kokietowała go ciągle i wytrwale i starała się wykrzesać z niego iskrę jakąś... Miała swoje cele, dla których to robiła.
- Orłowski kłął coraz ciszej, a wypiwszy kawę, rzekł:
- Bóg zapłać!... Przysięgam Bogu, pani jedna mnie rozumiesz... dobra z pani kobieta...

– Panie naczelniku, gdybym tylko mogła okazać, co czuję, co... – jąkała się, spuszczać oczy. Orłowski uściśnął jej rękę i wyszedł do swojego pokoju na drzemkę.

Kręska rozkazała sprzątać ze stołu – i później, kiedy została sama, wzięła jakąś robótkę i usiadła przy oknie, wychodzącym na peron; spoglądała czasami na lasy, na linię, ale pusto i cicho było wszędzie. Wstała, bo nie mogła usiedzieć i zaczęła chodzić naokoło stołu, cichym, kocim ruchem, kołowała, uśmiechając się do myśli swojej:

– Będę go miała... będę!... Nareszcie człowiek odpocznie należycie!... Skończy się ze wszystkim!... – myślała i widziała się już naczelnikową.

Widziała się już panią... Zrzucała z ogromną ulgą tę maskę dobroduszości, pokory, uniżenia i oszczędności, którą musiała nosić wobec wszystkich. Obiecowała sobie powetować wszystko... co wycierpiała.

Był to jedyny cel, do którego wytrwale dążyła od lat dwóch.

Tu znowu przychodziły jej na pamięć obrazy przeszłości: całe lata włości z teatrem prowincjonalnym...

Rzuciła teatr, bo złapała młodego chłopaka, który się ożenił z nią. Żyła z nim całe dwa lata... dwa lata, które wspominała z goryczą. Mąż był zazdrosny do szaleństwa i bijał ją czasami, gdy niedość mocno trzymała swój temperament na wodzy.

Została wolną wreszcie, ale już nie pragnęła teatru; przyzwyczała się trochę do względnego dobrobytu, do cichszego życia. Dreszczem przejmowała ją myśl powrotu do tej ciągłej tułaczki z miasta do miasta, do tego ciągłego braku. Widziała zresztą, że brzydnie i starzeje się. Posprzedawała co miała, odebrała jakieś wsparcie od zarządu, w którym jej nieboszczyk służył, i przez pół roku grała rolę wdówki; chciała się koniecznie wydać za mąż po raz drugi. Zaciągała siecie, ale napróżno; jej własny temperament stanął na przeszkodzie. Z pieniędzmi, jakie poczuła w kieszeni, zbudziła się w niej dawna aktorka, lekkomyślna, burzliwa, lubiąca się bawić i używać... Była jeszcze ponętną, więc ją otoczył rój rozmaitych lewków, z którymi przebawiła wszystko, co miała, razem z reputacją, jaką sobie potrafiła przy pomocy swego męża wyrobić.

Nie umiała nic, ale miała czelność i sprytu tyle, że nie opuściła rąk biernie, tylko natychmiast, jak ją ostatni z wielbicieli opuścił, ogłosiła w „Gazecie Kieleckiej”, że wdowa po urzędniku, w starszym wieku, poszukuje miejsca do wyłączenia pani domu, do towarzystwa, albo do wdowca.

Na skutek nie czekała długo. Zjawił się Orłowski, któremu był ktoś koniecznie potrzebny do zarządu domem, bo Janka była w gimnazjum jeszcze, a on nie mógł sobie dać rady ze sługami. Nie pytał się jej o nic, tak mu się przedstawiła cichą, potulną, bolejącą po stracie męża, tylko ją zabrał zaraz ze sobą.

Orłowski był wdowcem, miał niezłą pensję, gotowizny kilkanaście tysięcy, no i jedyną córkę – nieobecną, córkę, której niecierpiał. Chciała na razie bałamucić urzędników stacyjnych, ale się prędko połapała w sytuacji, i już grała nową rolę ciągle, chcąc koniecznie dojść do ostatniego aktu – małżeństwa.

Orłowski przyzwyczał się do niej. Umiała się zrobić niezbędną i umiała zawsze pokazywać tę swoją niezbędną tak zręcznie, że nie raziła.

Zresztą, te długie wieczory zimowe, szarugi jesienne, zbliżały ją więcej do celu, bo Orłowski miał lat pięćdziesiąt ośm i reumatyzm, był zawsze maniakiem, ale podczas napadów choroby robił się wprost waryatem. Ona umiała go ułagodzić i prowadzić swoim sprytem, wyostrzonym kilkunastoletnią praktyką sceniczną.

Była tylko jedna przeszkoda – Janka.

Kręska rozumiała, że dopóki Janka będzie w domu, nie można nic zrobić. Postanowiła sobie, że zaczeka – i czekała cierpliwie.

Orłowski kochał córkę nienawiścią, to jest dlatego ją kochał, że nienawidził.

Nienawidził jej, bo była córką jego żony, której pamięć przeklinał gwałtownie, – żony, która po dwóch latach wspólnego pożycia, wyjechała z dzieckiem do rodziny, bo nie mogła dłużej znieść

jego tyranii i dziwactw. Procesował się, chciał ją siłą zmusić do powrotu, ale separacja rozdzieliła ich na zawsze. Szalał ze złości, ale jego zaciętość, upór niesłyszany, duma waryacka, nie pozwoliła mu prosić żony o powrót, któraby może i wróciła pod dach mężowski, bo to była dobra kobieta. Chorowała tylko ciągle na choroby, nieznane lekarzom prowincjonalnym. Była to dusza mimozy, którą każda łza, każdy ból, czy przykrość, pogrążała w rozpacz; do tego bała się grzmotów, deszczów, żab, ciemnych pokojów, dni feralnych i wszelkich głośniejszych dźwięków – więc ten mąż zabijał ją swoją brutalnością.

W kilka lat po rozłączeniu umarła z wyczerpania nerwowego, pozostawiając Jankę już wtedy dziesięcioletnią. Odebrał ją siłą zaraz od rodziny żony, albowiem nie chciano mu jej oddać dobrowolnie, ze względu na jego charakter i dziewczynę, wychowaną w innej atmosferze.

Nienawidził ją jeszcze i za to, że była dziewczyną. On, przy swojej dzikiej gwałtowności, chciał mieć syna, na którymby mógł próbować nietylko pięści swojej, ale i codziennego humoru.

Marzył o synu. Wyobrażał sobie, że to będzie duży chłopak, na pół dziki, energiczny, mocny jak dąb a tymczasem urodziła się dziewczyna.

Byłby wszystko żonie darował, ale tego nie mógł.

Oddał Jankę zaraz na pensję i widywał tylko raz na rok, podczas wakacyi, bo Boże Narodzenie i święta Wielkanocne spędzała u wujów.

Wakacyi tych, coś już w trzecim roku, czekał z niecierpliwością, bo nudził się sam na odludnej stacy; z nikim nie żył bliżej, więc jak tylko Janka przyjechała, zaczynała się pomiędzy nimi wojna.

Janka rosła szybko, rozwijała się znakomicie, ale poczęta, urodzona i wychowana w ciągłej wrzawie i kłótni, karmiona płaczem i narzekaniami matki na ojca, zniechęciła go i obawiała się jego szyderstw. Wyrobiło to w niej skrytość i zaciętość. Buntowała się przeciw jego despotyzmowi i skąpstwu.

Miała parę tysięcy rubli po matce, i ojciec wręcz jej oświadczył, że procent od tej sumy musi wystarczyć dla niej, bo on nie myśli dać ani grosza.

Stała na pierwszorzędnej pensji, ale po opłaceniu jej i późniejszej nauki w gimnazyum, pozostawało jej tak mało na różne najniezbędniejsze rzeczy, że ciągle musiała myśleć o tem, jak związać koniec z końcem, i wstydzić się to za buciki podarte, to za sukienkę, to za brak jakiejś drobnostki. Wyśmiewano się z niej na stancy, i to ją najsrożej upokarzało.

Po paru latach zaczęto się jej obawiać; nawet damy klasowe często jej ustępowały, bo miała porywczy charakter ojca, nie znoszący żadnych wędzideł. Nie płakała nigdy i nigdy się nie skarżyła, ale krzywdy gotowa była odbijać pięścią, bez względu, coby ją było spotkało; przytem była najzdolniejszą uczenicą.

Nie lubiono jej szczerze, ale musiano oddawać pierwszeństwo, bo go sobie sama wydzierała, gdy poczuła swoją wyższość nad tłumem koleżanek, które ją, jako córkę urzędnika, traktowały wyniośle, śmiały się z jej podartych bucików i sukienek i nie dopuszczały do poufałości z sobą. Prześladowała potem te córki obywatelskie z zaciekłością.

Była to dzika natura, rozwijająca się samotnie. Miała tylko jedną przyjaciółkę, z której zrobiła sobie pieska, służącego na łapkach na każde zawołanie.

Nie kochała nikogo, nawet matka zajmowała w jej dzikim sercu bardzo mało miejsca.

– Twój ojciec taki!... twój ojciec to zrobił!... twój ojciec taki podły!... twój ojciec... – Nieustannie jęczała matka wśród potoków łez i histerycznych paroksyzmów.

Obrzydły jej te spazmy, zniechęciła wszelką słabość, a postać ojca urosła w jej umyśle do rozmiarów olbrzymich. Wyobrażała go sobie złym, niegodziwym, ale wielkim jakimś i mocnym.

Poznała go bliżej po śmierci matki i nienawidziła z bojaźni, jaką czuła wobec niego. Przyjeżdżała na wakacje do Bukowca, bo były tutaj lasy ogromne, góry skaliste, potoki rwące, dzikość, która hipnotyzowała ją czarem swoim i przyciszała jej temperament. Nie lubiła miasta, bo jej przypominało zaraz szkołę, koleżanki i doznane upokorzenia. Tutaj czuła się swobodną i wolną. Klóciła się z ojcem codziennie, nie ustępując mu w niczem; a Orłowski robił się podczas tych miesięcy

jej odpoczynku wprost niemożliwym: umyślnie ją drażnił i pobudzał do wybuchów gniewu, i rad był niezmiernie, kiedy w paroksyzmie złości robiła się podobną do młodej pantery, gotowej się rzucić na niego i kąsać.

Przepadał za siłą i z gorzką rozkoszą widział, że Janka ma tę siłę w temperamentie, wtedy jeszcze ciężiej żałował, że była dziewczyną.

Mówił jej otwarcie o tem, że się nią brzydzi, ponieważ jest kobietą; drwił z niej, że prócz szydelka i książki, nie potrafiłaby nic w rękę utrzymać; pokazywał jej swoją strzelbę i odkładał ze smutkiem, narzekając, iż tylko chłopak umiałby ocenić należycie takie rzeczy.

Były to smagania, które na jej duszy zostawiły piekące pręgi.

Zrywała się wtedy, jak młody źrebiec uderzony batem, chwyciła strzelbę i po całych dniach brodziła po moczarach i głuszach leśnych za ptakami; nauczyła się tak dobrze strzelać, że przynosiła całe pęki kaczek dzikich i bekasów, i rzucała je ojcu pod nogi z tryumfem.

Orłowski wtedy dostawał wprost obłędu z wściekłości; upokarzało go, że wobec jej siły był sam bezsilnym, że nie mógł jej zgnać i zmiażdżyć – i potem jeszcze więcej żałował, że tyle dzikiej wytrwałości jest w niej – w dziewczynie!

Bywał chwilami dumny z niej i bronił ją z zapalem przed znajomymi, bo cała okolica gorszyła się jej awanturniczością. Spotykano ją po lasach, w nocy, w deszcz, w niepogody, zawsze samą, niby młody warchlak, odbity od stada. Nie żenowało ją wcale łożenie po drzewach za gniazdami, albo wyjści na oklep z wiejskimi chłopakami po pastwiskach.

Uciekała z domu od ojca na dni całe, marząc o powrocie na pensję, a na pensyi marzyła znowu o domu samotności.

Taką była prawie do ośmnastego roku życia. Skończyła gimnazjum i przyjechała na stałe do ojca.

Uspokoila się zewnątrz, ale głowa jej zaczęła się rozplomieniać coraz bardziej. Zaczęła marzyć i szukać czegoś, jakiegoś celu, jakiejś idei życia swojego.

Z tą swoją przyjaciółką, Helą Walder, idealnie piękną i idealnie rozmarzoną na punkcie samodzielności kobiet, rozstała się. Hela wyjechała do Paryża – na przyrodę; ona nie chciała, bo nie czuła po prostu potrzeby żadnej wiedzy. Pragnęła czegoś, potężniej działającego na jej temperament... czegoś, coby porwało ją całą i na zawsze.

Pozostała zupełnie samą i zaczęła się przypatrywać ludziom. Szukała tej idei, ale towarzystwo okoliczne nudziło ją śmiertelnie. Dla niej za mało było tej okolicy, tych zabaw skromnych i sennych, tych ludzi, którzy ją otaczali.

To życie ciche, wymierzone, rozklasyfikowane na wstawanie o jednej godzinie, na śniadanie, obiad, kolacje; preferanse we czwartki u nich, w sobotę u pomocnika ojca, w niedzielę u dozorczy – zabijało ją swoją monotonią. Dusila się w nim.

Mężczyzn unikała prawie, bo ją gniewali swoją bezczelnością; kobiety nudziły ją wiecznym powtarzaniem plotek, skarg, intryzek. Odsunięto się ogólnie od niej.

Najrozmaitsze wersye, mniej lub więcej kłamliwe, kursowały na jej conto w okolicy.

Była dziwadłem dla wszystkich.

A ona tymczasem szamotała się ze sobą, z duszą własną, z pragnieniami, których nie umiała sobie uprzedmiotować. Nie wiedziała, po co żyje i na co?... Zameczała się czytaniem, ale spokoju tam nie znalazła. Czuła, że musi znaleźć coś takiego, co ją potrafi porwać, że znajdzie kiedyś... ale tymczasem szalała z męki oczekiwania.

Oświadczył się jej Zielenkiewicz, właściciel wioski dosyć obdłużonej. Roześmiała mu się drwiąco w oczy, wręcz mówiąc, że swoim posagiem nie myśli wcale płacić jego długów.

Zaczęła rok dwudziesty pierwszy i zaczynała tracić cierpliwość.

Mała, zwykła rzecz, zdecydowała o jej życiu.

W najbliższym miasteczku urządzano teatr amatorski. Wybrano trzy jednoaktówki, obsadzono role i – utknęto, bo żadna z pań grać nie chciała Pawłowej w „Marcowym kawalerze” Blizińskiego.

Inicytor i reżyser zarazem, chciał koniecznie, aby ta sztuka była grana, bo pragnął nią dokuczyć jakiemuś sąsiadowi – ale Pawłowej ani Eulalii żadna z pań grać nie chciała.

Ktoś rzucił myśl, żeby prosić Orłowskiej, bo wiadano, że ona nie zważa na nic. Przyjęła rolę Pawłowej dosyć obojętnie, a Kręska, w której zagrały wspomnienia przeszłości, zrobiła tyle, iż Orłowski sam pojechał i oznajmił, że jest amatorka i na rolę Eulalii.

Robiono próby coś ze trzy miesiące, bo kilka rad zmieniał się skład grających. Zwykle hece teatrów prowincjonalnych, gdzie żadna nie chce grać starej, złej, kłótlivej, charakterystycznej, dwuznacznej, ani pokojówki, a wszystkie chcą grać bohaterki.

Kręska, którą Janka trzymała dosyć z daleka od siebie, nie zwierając się jej nigdy z niczem i nigdy nie prosząc o radę, zbliżyła się do niej z racyi przedstawienia. Zaczęła jej dawać lekcje gry scenicznej i była niestrudzoną mentorką; dopiero za jej wpływem Janka zaczęła się interesować rolą i przedstawieniem.

Tak się głęboko przejęła rolą, tak weszła w charakter i tak się nadała do tych ram, że grała bardzo dobrze. Była chłopką, Pawłową w każdym calu, tak, że sala pod koniec sztuki zabrzmiała oklaskami.

Poczuła wtedy szaloną, dziką uciechę z tego chwilowego panowania nad tłumem; schodziła ze sceny prawie ze łzami żalu, że się to już skończyło, i czując, że się w niej gdzieś pod świadomością, coś budzić zaczyna nowego.

Kręska zrobiła także prawdziwą furorę!... Była to rola, którą kiedyś na prawdziwej scenie grywała z powodzeniem. W antraktach mówiono tylko o niej i o Jance.

– Komediantka! urodzona komediantka! – szeptały panie z jakimś wyniosłym politowaniem.

Orłowski, któremu dziękowano i wieszowano takiej córki i towarzyszki, machnął ręką.

– Żeby to był syn, zobaczylibyście, coby wam pokazał!...

Był jednak zadowolony, bo poszedł za kulisy, pogładził Jankę po twarzy, a Kręską pocałował w rękę.

– Dobrze, dobrze!... pociecha nie wielka, ale przynajmniej wstydu niema – powiedział im za całą pochwałę.

Janka, po tem przedstawieniu zbliżyła się więcej do Kręskiej, i ta, w chwili jakiejś słabości, wygadała się ze swoją tajemnicą, szczerze trzymaną w ukryciu, i przesunęła przed Janką światy takie nowe, takie dziwne, takie pociągające, że jej serce zabiło gwałtownie.

Słuchała z pobożnym skupieniem opowiadania o scenie, o tryumfach, o występach, o barwnym życiu aktorskim. Kręska się unosiła i obrazowała entuzjastycznie; już nie pamiętała nędz tego życia, tylko same jasne obrazy pokazywała oszołomionej dziewczynie. Wyciągnęła z kufra poźółtkę zeszyty ról niegdyś granych i czytała przed nią, grała, podniecona wspomnieniem przeszłości.

Olśniewało to Jankę, budziło jakieś gwałtowniejsze pragnienia, ale jeszcze ją nie porwało, jeszcze to nie było to „coś”, na co czekała od tak dawna.

Grała później jeszcze kilka razy, bo już gorączka teatralna zaczęła ją zwolna trapić.

Z uwagą zaczęła czytywać w pismach krytyki teatralne i szczegóły o aktorach. Wreszcie, czy to z nudów, czy z instyktownej pobudki sprowadziła sobie Szekspira – i wtedy przepadła!

Znalazła to „coś”, znalazła bohatera, cel, ideę – był nim teatr.

Pochłonęła Szekspira z całą gwałtownością swojej natury – całego i od razu.

Trzebaby bardzo wiele pisać, żeby zamknąć choć w streszczeniu, to gwałtowne rozszerzenie się jej duszy, ten szalony wzlot wyobraźni, to wyolbrzymienie jej wewnętrzne, jakie uczuła po przeczytaniu. Otoczył ją rój dusz złych, szlachetnych, nikczemnych, płaskich, bohaterskich i cierpiących, ale zawsze wielkich jakąś rasą, po której nie ma już śladu na świecie. Przenikały ją takie dźwięki, takie słowa, takie myśli i uczucia potężne, że się uczuwała, jakby całym wszechświatem!..

Po kilkakrotnem przeczytaniu tych ksiąg nieśmiertelnych, powiedziała sobie, że zostanie aktorką, że musi nią zostać koniecznie, bo te sprawy codzienne wydały się jej tak marnemi, ludzie tak nikłymi, że się dziwiła, iż wcześniej tego nie spostrzegła.

Poczuła że jest artystką, że jakiś płomień oświecił ją błyskawicą i zbudził; że to sztuka jest tem dobrem dla niej, tak wyczekiwaniem i tak upragnionem.

Zaczęła ją przepalać gorączka teatru i pragnienia nadzwyczajnych wzruszeń.

Zimy wydały się jej za ciepłe, śniegi za małe; wiosny szły za powolnie, upały były zimne, jesień zbyt suche, za mało mgliste; ona to wszystko miała w mózgu stokroć potężniejszym. Chciała mieć piękno – szczytnem, zło – choćby zbrodnią, czyn wszelki – tytanicznych rozmiarów.

– Mało!... jeszcze!... – wołała nieraz jesienią, kiedy wichry zginały z szumem buki i liście leciały, niby płatki krwi czerwonej na ziemię, kiedy deszcze lały całymi tygodniami, że wszystkie drogi, rowy, dolinki stały pod wodą, a noce były wprost straszne ciemnością i szamotaniem się żywiołów.

W dni, w które się zdawało, że wszystko na niebie i na ziemi zagasło, starło się, pomieszało, że tylko szarzeją pyły światów rozbitych i zewsząd się sący w świat szarość posępna i targająca duszę smutkiem bezbrzeżnym konania – uciekała do lasu, kładła się nad potokami, albo na odartem z roślinności wzgórzu i wystawiona na deszcz, na smaganie wichury i zimno, dawała się porywać swojej wyobraźni i leciała w światy olbrzymów; bywała wtedy szczęśliwą aż do utraty przytomności. Szalała razem z huraganem, co bił i brał się za bary z lasami, co pod konarami drzew wył i skomlił żałośnie, niby dzikie zwierzę na uwięzi.

Kochała się w takich dniach i nocach, przepadała za tym przejmującym płaczem żalnym przyrody konającej w błocie jesieni. Wyobrażała sobie wtedy Leara, i głosem, którym napróżno chciała zagłuszyć burzę i szum lasu, rzucała w świat zamglony tragiczne przekleństwa...

Żyła wtedy życiem dusz Szekspirowskich. Było to prawie szczytne obłąkanie duszy. Pokochała z całą gwałtownością te wielkie, tragiczne postacie dramatów.

Orłowski trochę wiedział o jej chorobie, ale śmiał się z tego pogardliwie.

– Komediantka! – rzucał jej prosto w twarz ze swoją brutalnością.

Kręska podsycala ten ogień, bo za co bądź chciała się jej z domu pozbyć.

Zaczęła w nią wmawiać talent i gorąco zachwalała teatr.

Janka nie mogła się jakoś zdobyć na ten krok decydujący. Bała się tych ciemnych, nieokreślonych przecuć i trwogi, jaka ją chwilami napadała.

Wiedziała, że musiałaby zerwać ze wszystkimi i iść sama w świat, w świat, którego się bała instynktownie. Nie żyła nigdy samodzielnie. Mroziła ją myśl o tem otwieraniu sobie drogi kulakami. Dotychczas prowadzono ją: ręka, co ją wiodła, była twarda i nielitościwa, ale ją prowadziła i mniej więcej czuwała nad nią. Tutaj miała swój kąt, swój las, swoje miejsca ulubione, do których organicznie się już przystosowała – a tam, gdzieś w świecie szerokim, co tam znajdzie?...

Nie! nie mogła się zdobyć na stanowczość. Musiała jakaś burza przyjść, wyrwać ją i wyrzucić daleko stąd, jak wrywała drzewa i rzucała po polach pustych. Czekala już teraz wprost na przypadek. Kręska tymczasem informowała ją ciągle o towarzystwach prowincjonalnych. Z pism zresztą wiedziała nazwiska dyrektorów i opinie, jakie mieli. Robiła pewne przygotowania i oszczędności. Ojciec wypłacał jej procent od posagu regularnie i zdołała przez rok zaoszczędzić z niego przeszło dwieście rubli.

To oświadczenie Grzesikiewicza i zapewnienie ojca, że musi wyjść za niego, wzburzyło ją.

– Nie, nie i nie! – myślała teraz, chodząc po swoim pokoiku. – Nie pójdę za mąż!

O zamążpójściu nigdy na seryo nie myślała. Czasami miłość jakaś wielka, wstrząsająca, snuła się jej w myśli, marzyła o niej przez chwilę, ale o małżeństwie nie pomyślała nigdy.

Dosyć lubiła nawet Grzesikiewicza, bo jej nigdy nie mówił półsłówkami o uczuciach, nie grywał przed nią miłosnych komedii, do jakich ją przyzwyczaili inni wielbiciele; lubiła go za prostotę, z jaką opowiadał, co musiał przecierpieć w szkołach, jak mu wymyślano od chamów, od karczmarskich synów, jak go upokarzano i, jak im płacił za to pięścią – po chłopsku.

Śmiał się przy tych opowiadaniach, ale miał w śmiechu jakiś akcent żalu, czy urazy.

Chodziła z nim nieraz na spacer, bywała z ojcem w ich domu, lubiła bardzo starą Grzesikiewiczową, ale żeby wyjść za męża za niego!... roześmiała się z tej myśli, tak się jej wydała śmieszną i dziwną.

Otworzyła drzwi do pokoju ojca, aby mu powiedzieć ostro i stanowczo, że Grzesikiewicz niema po co przyjeżdżać; ale Orłowski spał już po obiedzie, w swoim fotelu, z nogami opartymi o parapet okiennicy. Słońce świeciło mu prosto w twarz, prawie już miedzianą od opalenia.

Cofnęła się. Przeczynała po niepokoju, jaki rósł w niej, że burza będzie straszna, bo ojciec nie będzie chciał ustąpić, ale czuła, że i ona nie ustąpi.

– Nie, nie i nie!... Choćby przyszło uciekać z domu, a nie pójść za męża!...

Ale ją zaraz chwytala bezradność czysto kobieca po takiej stanowczej myśli i spoglądała prawie ze strachem w przestrzeń, w której zdawała się widzieć siebie samą, uciekającą z domu.

– Pojadę do wujów... tak!... a stamtąd do teatru... Nikt mnie nie zmusi, abym tutaj pozostała.

I aż zawrót głowy uczuła z oburzenia na myśl, że może ją kto chcieć zmuszać i zaraz potem hardo patrzyła w przyszłość – i była już zdecydowaną na wszystko, byle nie ustąpić.

Słyszała, jak ojciec wstał, potem z okna przyglądała się pociągowi osobowemu, który odchodził; słyszała dzwonki stacyjne, szwargot kilku wsiadających żydków; widziała czerwoną czapkę ojca, żółte wypustki telegrafisty, rozmawiającego przez okno wagonu z jakąś panią; widziała i słyszała wszystko, ale nie rozumiała nic z tego. Ta stanowcza chwila, to jutro, wywierała na nią już swój wpływ.

Kręska przyszła i swoim zwyczajem, zaczęła kołować po pokoju cichym, kocim ruchem, nim się odezwała. Miała w twarzy wyraz współczucia i rzewność w głosie.

– Panno Janino!

Janka spojrzała na nią i przeczytała wyraźnie jej obawę.

– Nie! możesz mi pani wierzyć, że nie! – odpowiedziała silnie.

– Ojciec dał słowo... będzie chciał koniecznie posłuszeństwa... co to będzie z tego?...

– Nie! nie pójść za męża!... Może sobie ojciec odwołać słowo; mnie nie zmusi...

– Tak... ale zacznie się to dopiero wojna, zacznie!...

– Przetrzymałam już tyle, przetrzymam i więcej.

– Ja się boję... to się tak gładko nie skończy. Ojciec taki gwałtowny... Ja nie wiem, jak tam pani może znosić tyle... Gdybym była na miejscu pani, to wiem, co bym zrobiła... i to zaraz, dziś, natychmiast!

– Ciekawam... niech mi pani da jaką radę.

– Wyjechałabym przed wszystkim, żeby uniknąć hecy. Pojechałabym do Warszawy...

– No i cóż dalej? – pytała Janka ze drżeniem w głosie.

– Zaangażowałabym się do teatru i niech się co chce dzieje!

– Tak, to dobra myśl, ale... ale...

I nie dokończyła, bo dawna bezradność i dawneobawy znowu wróciły; siedziała już, nie odpowiadając Kręskiej, która widząc, że projekt jej nie zostanie wykonany, wyszła zirytowana.

Janka włożyła jakiś kaftan, filcową czapkę, kij i poszła do lasu, ale dziś nie mogła się tam bezmyślnie włóczyć, ani znaleźć rozkoszy w obcowaniu z samą sobą, nawet marzyć o scenie nie mogła.

Poszła na szczyt tej góry kamienistej, skąd się otwierał rozległy widok na lasy, na wsie za nimi i na nieskończony obszar przestrzeni. Patrzyła się, ale ta cisza w przestrzeniach, niepokój, to przeczynawanie burzy, jakaś trwoga, denerwowały ją silnie. Wiedziała, że jutro coś się zdecyduje, coś się stanie takiego, czego pragnęła i bała się jednocześnie...

Wróciła o zmroku do domu. Nie rozmawiała ani z ojcem, ani z Kręską, tylko zaraz po kolacyi poszła do swojego pokoju i czytała bardzo długo *Consuelo* Jerzego Sanda.

W nocy sny ją trapiły ciężkie, że się co chwila budziła spocona i jeszcze przede dniem obudziła się zupełnie i nie mogła spać. Leżała z szeroko otwartymi oczyma i patrzyła w sufit, na którym

rysowała się plama światła, oderwana od latarni peronowej. Pociąg jakiś szedł z hukiem, słyszała długo jego łoskot rytmiczny i całe chóry głosów przeciskały się przez szyby strumieniami dźwięków.

W głębi pokoju, zalanej zmrokiem, pełnej jakichś błysków, snujących się, niby oderwane promieniowanie światła dawno zagasłych – zdawała się widzieć widma, zarysy jakichś scen, postaci, dźwięków... Mary mózgu zmęczonego napełniały pokój halucynacjami. Spostrzegła jakiś gmach ogromny, długi, z szeregami kolumn, jak się zaczął zarysowywać i wylaniać z mroków... nie wiedziała co to jest, ale patrzyła...

Potem szły sceny i postacie jakieś tragiczne, przestrzenie zalane światłem, głosy muzyki, ciżba ludzka, miasto wielkie, ulice długie, domy wysokie, tłok na ulicach.

Rano wstała, tak zdenerwowana, że się na nogach utrzymać nie mogła.

Słyszała, że ojciec dysponuje wystawny obiad, że robią przygotowania do uroczystego przyjęcia. Kręska chodziła koło niej na palcach i uśmiechała się, subtelnie drwiącym uśmieszkiem, który Jankę drażnił. Odurzona była wyczerpaniem i burzą, jaka wrzała w niej. Przyglądała się wszystkiemu obojętnie, bo myśl jej była ciągle o tej oczekiwanej walce z ojcem. Chciała coś czytać, zając się czymś, ale wszystko wysuwało się jej z rąk bezwładnych.

Poszła do lasu, ale zaraz zawróciła z powrotem, bo nie wiedziała, po co tam iść?... Nuda jakaś rozlała się po niej i niepokój przysłał jej serce mgłą coraz większą. Nie mogła się w żaden sposób otrząsnąć z tego nastroju.

Zaczęła grać machinalnie gamy, ale monotonne, usypiające szmery dźwięków, denerwowały ją jeszcze więcej.

Grała później nokturny Chopinowskie, grała długo, wsłuchiwała się w te tony nieokreślone, co były jakimś śpiewem zaświatów, co miały w sobie akcenta łez, cierpień, krzyków, rozpaczki bezsilnej; blaski zimnych nocy księżycowych, jęki podobne do szeptów dusz konających, szmery, światła, uśmiechy rozłączeń, drgania życia subtelne i smutne...

I rozpląkała się spazmatycznie. Płakała długo, nie wiedząc, dlaczego płacze, ona, która od śmierci matki nie wylała ani łzy jednej.

Poczuła się znękaną pierwszy raz w życiu, które dotychczas było tylko ciągłym buntem protestu i szamotania się... Obudziło się w niej głębokie pragnienie podzielenia się smutkami duszy: zapragnęła wyszeptać na jakim sercu życzliwym, te myśli obłądne, strzępy uczuć, cierpienia nieokreślone i obawy... Łaknęła współczucia, czując, że to znękanie byłoby mniejszem, ból cichszym, łzy nie tak palące, gdyby mogła otworzyć serce przed jaką serdeczną przyjaciółką.

Poznała, że samotność jest nieszczęściem w pewnych stanach duszy.

Kręska zawołała ją na obiad, objaśniając, że Grzesikiewicz już czeka.

Wytarła ślady łez, poprawiła włosy – poszła.

Grzesikiewicz pocałował ją w rękę i usiadł obok niej.

Orłowski miał humor świąteczny i coraz domyślniki i tryumfujące spojrzenia rzucał na Jankę.

Pan Andrzej był milczącym i niespokojnym; czasami się odzywał, ale tak cicho, że ledwie Janka usłyszeć mogła. Na Kręskiej znać było zdenerwowanie.

Jakaś posepna atmosfera wisiła nad wszystkimi.

Obiad włókł się ciężko i nudnie. Orłowski chwilami wpadał w zadumę i wtedy marszczył brwi, targał gniewnie brodę i mordercze spojrzenia rzucał na córkę.

Po obiedzie przeszli do saloniku.

Podano czarną kawę i koniak.

Orłowski wypił szybko kawę i wychodząc pocałował Jankę w głowę i mruknął coś niezrozumiałe.

Zostali sami.

Janca patrzyła w okno; Grzesikiewicz czerwony, rozstrojony, dziwny, zaczął coś mówić i popijał kawę małymi łykami, wreszcie wypił ją od razu, filiżankę odsunął, że się aż przewróciła wraz ze spodkiem na stół.

Janka roześmiała się z tej gwałtowności i z miny, z jaką się tłómaczył.

– Niech się pani nie dziwi, ale w takiej chwili człowiekby lampę połknął, nie zauważywszy...

– Trudnoby było – odpowiedziała, i znowu ją śmiech pusty i bezmyślny zatrząsł.

– Pani się ze mnie śmieje? – zapytał, patrząc jej niespokojnie w oczy.

– Nie, tylko tak mi komiczną wydawała się myśl połknięcia lampy.

Milczeli. Janka skubała abażur, a Grzesikiewicz szarpał rękawiczki i bezmyślnie, odruchowo przygryzał sobie wąsy; wzruszenie dławilo go po prostu.

– Ciężko mi... okropnie mi ciężko!... – zaczął, podnosząc na nią oczy błagalnie.

– Dlaczego? – zapytała krótko i wymijająco.

– No, bo... bo... Jak Boga kocham, nie wytrzymam już dłużej!... Nie, już nie mogę się dłużej męczyć, powiem po prostu: kocham panią i proszę o jej rękę —zawołał głośno, i aż odetchnął z ulgi ogromnej, ale uderzył się w czoło i, biorąc rękę Janki, zaczął znowu:

– Kocham panią dawno, bałem się pani mówić o tem, i teraz także nie umiem się wygadać, nie umiem tak określić i wypowiedzieć, jakbym chciał... Kocham panią i błagam, bądź moją żoną...

Pocałował ją gorąco w rękę i patrzył się w nią swojemi niebieskimi, poczciwemi oczyma, z których buchało ślepe przywiązanie i miłość szczerą i głęboką. Usta drżały mu nerwowo i bledność pokryła twarz.

Janka podniosła się z krzesła i, patrząc mu prosto w oczy, odpowiedziała wolno i po cichu:

– Nie kocham pana.

Zdenerwowanie gdzieś zniknęło; wiedziała, że ta chwila oczekiwania już się zaczęła, więc była gotową. Spokojne zdeterminowanie przeglądało w jej oczach chłodno patrzących.

Grzesikiewicz odsunął się gwałtownie, jakby go kto uderzył silnie w piersi, ale powrócił na miejsce i nie rozumiejąc jeszcze znaczenia słów usłyszanych, mówił drżącym głosem:

– Panno Janino... bądź pani moją żoną... Kocham panią!...

– Nie kocham pana... nie mogę przeto za pana wyjść... nie pójdę wcale za męża!... – odpowiedziała tym samym głosem, ale przy ostatnim wyrazie głos jej zadrgał jakimś akcentem litości dla niego.

– Jezus, Marya! – wykrzyknął Grzesikiewicz, chwytając się za głowę. – Co pani powiedziała? ... Co to jest?!... Pani nie pójdzie za męża!... nie chce pani być moją żoną!?... Pani mnie nie kocha!...

Ukląkł raptownie przed nią, schwycił ją za ręce, i, okrywając je pocałunkami, prawie przez łyż strachu gorączkowego, zaczął ją błagać tak silnie, tak pokornie, tak mu głos drżał łkaniem miłości ogromnej, że chwilami zatrzymywał się, aby zaczerpnąć powietrza i zebrać myśli.

– Nie kocha mnie pani?... Pokocha mnie pani. Przysięgam, że ja i matka moja i ojciec będziemy jej niewolnikami... Poczekam wreszcie... Niech pani powie, że za rok... za dwa... za pięć... będę czekać. Przysięgam pani, będę czekać!... Ale niech mi pani nie mówi, że nie!... Na miłość Boską, niech mi pani nie mówi tego, bo się wścieknę z rozpacz! Jaki?... nie kocha mnie pani!... ale ja panią kocham... my wszyscy panią kochamy... my nie potrafimy już żyć bez pani! ... nie... Ojciec mi powiedział, że... że... a tutaj!... Jezus Marya! ja się wścieknę!... Co pani robi ze mną!... co pani robi!...

Porwał się z ziemi i chwytając się za głowę rozczochraną, krzyczał prawie z bólu.

Janka miała łyż w oczach i żal się jej robiło; ta jego szczerą i taka prosta rozpacz, objawiająca się tak targająco, podziałała na nią dziwnie.

Była chwila, w której poczuła we własnym sercu te łyż jego i rozpacz – i jakaś sympatya litosna targała ją, że już odruchowo podać mu chciała rękę i powiedzieć, że będzie jego żoną, – ale to trwało krótko.

Stała znowu ze łzami rozczulenia w oczach, ale z obojętnością w sercu i patrzyła się zimno.

– Panno Janino, błagam o odpowiedź!... Niech pani pomyśli, że odmową zabija pani mnie, matkę moją, ojca, wszystkich...

– Wolałbyś pan, żebym ja się zabiła dla wszystkich! – odpowiedziała chłodno i usiadła z powrotem.

– A!!... – wyrwało mu się z gardła i odchylił głowę nieco w tył, jakby z obawy, że sufit runie natychmiast.

Machinalnie zerwał rękawiczki z rąk, podarł, a raczej poszarpał je i rzucił na podłogę, zapiał surdut na wszystkie guziki, a wreszcie siłąc się na spokój, powiedział:

– Żegnam panią... ale... że zawsze... że wszędzie... że nigdy... – szepnął z trudem, pochylił głowę i szedł ku drzwiom.

– Panie Andrzeju!... – zawołała silnie.

Grzesikiewicz odwrócił się ode drzwi z jakimś błyskiem nadziei w oczach.

– Panie Andrzeju – mówiła prosząco – nie kocham pana, ale go szanuję... nie mogę wyjść za pana, nie mogę... ale zawsze... będę o panu wspominać, jak o człowieku szlachetnym. Pan mnie rozumie, iż to byłoby podłością iść za człowieka niekochanego... Pan się brzydzi obłudą i kłamstwem – i ja go nienawidzę. Przebacz mi pan, ale ja sama cierpię... sama także nie jestem szczęśliwą... o nie!...

– Panno Janino... gdybyś tylko... gdybyś...

Spojrzała na niego tak boleśnie, że zamilkł i wyszedł wolno.

Janka siedziała jeszcze, patrząc na drzwi, które wyszedł – i jeszcze miała w mózgu dźwięki jego słów, gdy wszedł do pokoju Orłowski.

Spotkał się z Grzesikiewiczem na schodach i z jego twarzy dowiedział się o wszystkim.

Janka aż krzyknęła ze strachu, tak ojciec zmienił się strasznie. Twarz miał brudno-siną, oczy wysadzone, głowa mu się trzęsła jakimiś poprzecznymi ruchami.

Usiadł przy stole i cichym, przyduszonym głosem zapytał:

– Co powiedziałaś Grzesikiewiczowi?

– To, co mówiłam ojcu wczoraj, że go nie kocham i nie pójdę za niego – odpowiedziała śmiało, ale się zlekła tej cichości i pozornego spokoju, z jakim ojciec przemawiał:

– Dlaczego? – rzucił krótko, jakby nie rozumiejąc.

– Powiedziałam: nie kocham i nie chcę wcale wyjść za męża.

– Głupiaś!... głupiaś!... głupiaś!... – syczał przez zaciśnięte zęby i podnosił się z wolna z krzesła.

Patrzyła na niego spokojnie i dawna jej zaciętość wracała.

– Powiedziałem, że pójdiesz za niego... dałem słowo, że pójdiesz za niego, to pójdiesz!

– Nie pójdę!... nikt mnie nie potrafi zmusić!... – odpowiedziała ponuro, z mocą patrząc się w błyszczące oczy ojca.

– Zaciągnę cię do ołtarza. Zmuszę cię!... musisz!... – wołał głucho.

– Nie!

– Wyjdiesz za Grzesikiewicza; ja ci to mówię, ja twój ojciec, rozkazuję ci to zrobić!... Usłuchasz mnie natychmiast, bo cię zabiję!...

– Dobrze, niech mnie ojciec zabije, ale nie usłucham.

– Wypędzę cię z domu!... – krzyczał już głośno, odzyskując siły i ściskając nerwowo poręcz krzesła.

– Dobrze!

– Wyrzeknę się ciebie!

– Dobrze! – odpowiadała coraz silniej.

Czuła teraz, że z każdym słowem ojca dusza jej twardnieje i nasycza się coraz większą stanowczością.

– Wypędzę cię!... słyszysz?... i choćbyś konała z głodu, choćbyś skomlała u drzwi, nie wpuszczę, nie zechcę nigdy wiedzieć o tobie!...

– Dobrze...

– Janka! ty mnie nie doprowadzaj do ostateczności. Ja cię proszę, idź za Grzesikiewicza, moja córko, dziecko moje!... przecież to dla twojego dobra, ja chcę tego małżeństwa. Nie masz nikogo oprócz mnie na świecie; ja jestem stary... umrę... zostaniesz sama, bez opieki, bez utrzymania... Janka, tyś mnie nigdy nie kochała!... Żebyś ty wiedziała, jaki ja jestem przez całe życie nieszczęśliwy, tobys się ulitowała!... – prosił, ale w głosie miał akcenta krzyku i groźby.

– Nie!... nigdy!... – odpowiedziała, nie poruszona ani na chwilę jego prośbą i skargami.

– Ostatni raz cię pytam! – krzyknął onieprzytomniony jej odpowiedzią.

– Ostatni raz mówię, że nie!

Orłowski z taką siłą rzucił krzesłem o ziemię, że się rozleciało w kawałki; rozerwał sobie kołnierz koszuli, bo go dusił spazm wściekłości i, z poręczą w ręku rzucił się do Janki, by ją uderzyć, ale jej zimny, prawie pogardliwy wyraz twarzy, oprzytomnił go w jednej chwili. Odrzucił od siebie tę poręcz.

– Precz!!... – wrzasnął wskazując drzwi – precz!!... słyszysz? Wypędzam cię na zawsze z mego domu!... Nie przestąpisz nigdy tego progu, póki żyć będę, bo cię zabiję, jak psa wściekłego i wyrzucę za bramę!... Nie mam już córki!...

– Dobrze, pójdę precz... – odpowiedziała machinalnie.

– Nie mam już córki! Nie chcę cię znać, nie chcę słyszeć o tobie!... zgiń... Zabiję!... zabiję!... – krzyczał, biegnąc po pokoju, jak szalony.

Jego waryactwo wybuchało teraz w całej sile.

Wybiegł potem z mieszkania, i widziała przez okno, jak leciał do lasu.

Siedziała głucha, niema, zlodowaciała... Spodziewała się wszystkiego, ale nigdy, że ją wypędzi z domu, własny ojciec. Poczowała straszny ból do niego, ale ani jedna łza nie błysnęła w jej oku. Oglądała się nieprzytomnie, bo wciąż słyszała ten chrapliwy krzyk: „precz! precz!”

– Pójdę precz, pójdę... – odpowiadała pokornym, złamanym głosem przez łzy, które jej zalewały serce – pójdę...

Było jej jednak tak ciężko, tak strasznie ciężko na duszy, że siedziała zamierając z bólu: zdawało się jej, że to „precz” ojcowskie smaga ją, jak prętem żelaznym i że się oblewa krwią męki...

– Boże mój, Boże! za cóż ja jestem tak nieszczęśliwa?... – zawołała później.

Kręska, która wszystko słyszała, przybiegła do niej; ze łzami w głosie zaczęła ją pocieszać, lecz Janka odsunęła ją łagodnie. Nie tego jej było potrzeba: nie takich słów i nie takiej pociechy.

– Ojciec mnie wypędził... muszę wyjeżdżać... – rzekła, dziwiąc się w duszy tym krótkim dźwiękom, które zamykały w sobie tak wiele.

– Ależ to niemożliwe!... Ojciec da się przeprosić...

– Nie; nie zostaną już tutaj dłużej. Dosyć mam męki, dosyć...

– Pojedzie pani do wujów?

Janka się zamyśliła na chwilę, lecz nagle jej twarz posępna rozjaśniła się blaskiem stanowczości.

– Pojadę do teatru. Stało się!

Kręska spojrzała na nią, zdziwiona niby, i zaczęła jej odradzać.

– Niech mi pani pomoże pakować rzeczy. Pierwszym pociągiem odjadę...

– Osobowy teraz nie idzie do Kielc.

– Pojadę do Strzemieszyc, a stamtąd drogą wiedeńską do Warszawy.

– Niechże się pani namyśli jeszcze... taki krok, to na całe życie. Można później żałować...

– Stało się!... Już tak musiało się stać, to i nie będzie inaczej.

I zaraz spieszenie, nie odpowiadając na uwagi Kręskiej, zaczęła się gorączkowo pakować. Bieliznę, garderobę, książki, nuty, drobiazgi, różne – wszystko to układała ze starannością do swojego, jeszcze z pensjonarskich czasów kufra, jakby wyjeżdżają po wakacjach.

Nie myślała już nic ponad to i nie czuła, tylko, że musi zaraz, natychmiast wyjeżdżać; że musi się znaleźć jak najdalej od Bukowca, jakby wewnątrz obawiała się, że może jej zabraknąć później sił i odwagi.

Pożegnała się z Kręską obojętnie. Wydawała się spokojną i zimną na pozór, i była nią, tylko jakieś drganie ust i to drżenie wewnętrzne, którego nie mogła przyciszyć, były śladami tej burzy niedawnej.

Kazała zanieść rzeczy na dół, a mając jeszcze z godzinę czasu do pociągu, poszła do lasu. Usiadła pod rozłożystym bukiem i zapatrzyła się przed siebie.

– Na zawsze!... – odpowiedziała półgłosem jakby gęstwinie, co zaczęła trząść liśćmi, szemrać i pochylać się ku niej.

– Na zawsze!... – szeptała, wpatrzona w czerwone błyski słońca, chylącego się do zachodu, co przeciekały przez splątane gałęzie buków i lśniły się na ziemi.

Las stanął w wielkiej ciszy, jakby słuchał tych jej słów ostatniego pożegnania, jakby dziwił się w milczeniu, że może ktoś, co się w nim urodził i wychował, co żył z nim jednym uczuciem, co tyle łez w jego objęciach wylał, tyle przemarzył w jego ciszy – żegnać się i odejść – na zawsze; szukać lepszej doli i przyjaciół szerszych.

Żałośnie zaszemrały drzewa... Coś, niby pieśń pożegnania i wyrzutu smętnego, przeleciało po lesie; poruszyły się zielone wachlarze paproci, młode listki leszczyn zaczęły się trzepotać, sosny cienkimi igiełkami zaszeleściły cicho – i zadrgał, ożywił się las jękiem przeciągłym. Ptaki zaśpiewały urywanymi, przestraszonymi głosami, a po niebie, po ziemi zasianej liśćmi, mchami złotymi, konwalijkami białymi, po lesie zielonym przebiegały jakieś cienie, jakieś dźwięki, jakieś hukania, podobne do ech łkań żałosnych...

– Zostań!... ja ci starczę za wszystko... zostań!... zdawał się mówić las mocnym głosem miłości ojcowskiej.

Potok szumiał zgietkliwie, burzył się, podważał pnie i kamienie, co mu tamowały drogę, wymijał, okrążał, spadał i rozbity w pianę, w kaskadę pyłów, mieniących się w słońcu wszystkimi barwami tęczy, biegł ciągle naprzód niepowstrzymanie, szemrał zwycięsko i zdawał się szeptać:

– Idź... idź...

Cisza się potem zrobiła ogromna, przerywana brzęczeniem komarów i chrzęstem spadających szyszek zeszłorocznych.

Kukułka kukała gdzieś daleko.

– Na zawsze!... – szeptała Janka.

Podniosła się i szła z powrotem na stację. Szła wolno, rozglądała się miłośnie po drzewach, po ścieżkach, po zboczach wzgórz, i z rozrzewnieniem głębokim, z bólem dziwnym, żegnała je spojrzzeniami.

Czuła, że ją łyzy zalewają: łyzy żalu, odrywania się cierpkiego od tych miejsc, z którymi się żyła tak głęboko i z którymi się musi rozstać na zawsze...

Teraz, w tej chwili dopiero, poczuła całą gorycz swojego wyjazdu, i teraz poznała, że to nieprawda, iż ona tutaj nic nie kochała, i nic i nikogo nie zostawi tutaj drogiego!... Zostawiała te lasy, co były częścią jej duszy najdroższą. Zostawiała góry, polanki, niebo czyste, to życie burzliwe, ale swobodne – te chwile samotności – przeszłość całą, pełną walk, burz rozszażeń, zachwyków i marzeń...

Zostawiała więcej, niż mogła zrozumieć na razie.

Patrzyła z gorzką zawiścią na wszystko, że wszystko to zostanie – i myślała posepnie, że tak samo słońce będzie świecić nad tym drogim kawałkiem ziemi, tak samo lasy będą szumieć i wołać tysiącami głosów w noc burzliwe jesieni; wiosny iść będą, kwiaty kwitnąć – i ta pustka, to dobro jej, pełne melancholii, te noce księżycowe, zadumy lasów – wszystko to będzie... tylko ona odejść musi... tylko ją los wyrzywa i rzuca daleko... i na zawsze...

Potem myślała o tem nowem życiu, do jakiego szła – i żale za przeszłością przycichły, i podnosiła się w niej z wolna jakaś świadoma siebie siła życia i przejmowała ją mocą, że się wyprostowywała, patrzyła coraz śmielej przed siebie i coraz bardziej podnosiła głowę.

Zobaczywszy ojca na peronie, nie drgnęła nawet: już się pomiędzy nimi rozciągał ten nowy świat, do którego uciekała i pociągał ją obietnicami szczęścia i sławy.

Znajomi przystępowali do niej, witali się, pytali o zdrowie, dokąd jedzie i t. d.

Odpowiadała, że do rodziny i nie traciła spokoju. Miała go nawet tyle, że poszła sama do kasy po bilet.

Stała przed okienkiem i zażądała go głośno.

Orłowski (bo on sam sprzedawał bilety) podniósł głowę gwałtownie; coś, jakby cień czerwony, przeleciało mu po twarzy, ale nie odezwał się. Wydał jej resztę, spokojnie i zimno się patrzył, gładząc brodę, jakby jej nigdy nie znał.

Odchodząc, odwróciła głowę i spotkała się z jego rozpalonym wzrokiem.

Odsunął się gwałtownie od okienka, zaklął głośno, a ona poszła, tylko, że szła wolniej jakoś i nogi pod nią drżały.

Ten błysk oczów, jakby zakrwawionych łzami, uderzył w nią i zaciężył na sercu.

Pociąg przyszedł – wsiadła. Jeszcze z okien wagonu patrzyła na stację.

Kręska powiewała z mieszkania chustką i udawała, że lży obciera.

Orłowski, w czerwonej czapce, w niepokalanie białych rękawiczkach, ze sztywną miną urzędową chodził po peronie; nie spojrzał w jej stronę ani razu.

Dzwonek uderzył, rozległ się świst maszyny, potem gwizdka nadkonduktora i pociąg ruszył.

Telegrafista żegnał ją ukłonami; nie widziała – widziała tylko, jak ojciec wolno i ciężko odwrócił się i wszedł do swojej kancelaryi.

– Na zawsze!... – szepnęła, wychylając się z okna i ogarniając wzrokiem wszystko: lasy, wsie, wzgórza, moczary i znów to samo, przemykały się, niby cienie fantastyczne, – a ona patrzyła, czując, że ją jednocześnie porywa jakaś siła ogromna, że jest już na łascei niełasce jakiejś mocy wielkiej, co ją wyrwała z gniazda, i niesie w nieznanne światy, ku nieznanym przeznaczeniom.

Noc zapadła.

Księżyc płynął po ciemnym granacie przestrzeni, niby łódź srebrzysta po morzu nieskończoności, – a ona wciąż wychylała się przez okno i patrzyła w stronę Bukowca, szepcząc od czasu do czasu sucho i bezdźwięcznie:

– Na zawsze!... na zawsze!...

—

Orłowski o zwykłej godzinie przyszedł na kolację.

Kręska, pomimo radości, była niespokojną; patrzyła mu w oczy trwożnie, chodziła jeszcze ciszej, była teraz jeszcze pokorniejszą i mniejszą.

A on, jakby się mocował sam ze sobą, bo nie wybuchał klątwą i nie wspominał nic o Jance.

Na drugi dzień tylko zamknął pokój Janki na klucz i schował go do biurka.

Nie spał w nocy: oczy miał wpadnięte i cerę trupa. Kręska słyszała, że przez całą noc chodził po swoim pokoju, ale służbę pełnił, jak zwykle.

Przy obiedzie, Kręska ośmieliła się sama z czemś odezwać.

– Aha!... z panią się muszę jeszcze załatwić!...

Kręska zbladła. Zaczęła mu mówić o Jance, o swojej życzliwości, o tem, jak ona ją odwodziła od wyjazdu, jak ją serdecznie błagała...

– Głupiaś pani!... pojechała, bo chciała... Niech tam kark skręci!...

Kręska zaczęła się rozwodzić nad osamotnieniem jego.

– Suka!... – mruknął, spluwając pogardliwie. – Pani możesz sobie jeszcze dzisiaj odjechać. Zapłacę, co się należy i precz mi z domu, bo, przysięgam Bogu, że przez robotników wyrzucić każę!... Jak sam to sam... bez opiekunek!... Suka!... przysięgam Bogu!...

Rozbił szklankę o stół i wszedł.

II

Ogródek teatralny się budził.

Kurtyna ze skrzypem poszła w górę i ukazał się rozczochrany chłopak, bosi i w koszuli, i wziął się do zamiatania przybytku sztuki. Kurz tumanami płynął na ogródek, osiadał na czerwonym suknie krzesel i na rzadkich liściach kilku suchotnicznych kasztanów.

Garsoni i służba restauracyjna robili porządki pod olbrzymią werandą. Słychać było stuk mytych kufli, trzepanie chodników, suwanie krzesel i ciche szepty bufetowej, rozstawiającej z pewnym namaszczeniem szeregi butelek, talerzyki z przekąskami i ogromne bukiety à la Makart, podobne do mioteł zasuszonych.

Z boku zaglądało słońce jaskrawe i banda czarnych, ruchliwych wróbli, wisiała na gałęziach, trzepotała się na poręczach krzesel, dopominając się krzykiem okruczeństw.

Dziesiąta wydzwoniła na bufetowym zegarze wolno i uroczyście, gdy na werandę wpadł wysoki, szczupły chłopak; podartą czapkę miał na czubku głowy, obsypanej rudawymi pierścionkami poskręcanych włosów, twarz miał piegowatą i śmiejącą się, nos zadarty nieco. Leciał wprost do bufetu.

– Ostrożnie Wicek, bo buty zgubisz!... – zawołała bufetowa.

– Nic to, każę je tylko przefasonować! – odparł wesoło, spoglądając na swoje buty, które w nieznanym sposobie trzymały się jego nóg, pomimo, że nie miały podeszew, ani wierzchu.

– Proszę pani o naparsteczek muślinu! – zawołał, kłaniając się zamasyżście.

– Gotówka jest? – spytała bufetowa, wyciągając rękę.

– Nic, a będzie... Wieczorem oddam, jak panią szanuję, oddam rzetelnie – prosił, akcentując charakterystycznie.

Bufetowa ruszyła tylko ramionami pogardliwie.

– Niech pani da... zaproteguję panią do szacha perskiego... Oj, oj! taka obszerna facetka, to pewne angażma...

Garsoni wybuchnęli śmiechem, bufetowa trzasnęła silniej metalową podstawką.

– Wicek! – zawołał ktoś od wejścia.

– Słucham pana reżysera.

– Są już wszyscy na próbie?

– Oho, nic a będzie!... – zawołał, śmiejąc się łobuzowato.

– Zamawiałeś?... byłeś z okólnikiem?...

– Byłem. Wszyscy się podpisali.

– Byłeś z afiszem u dyrektora?

– Kiedy dyrektor był jeszcze za kulisami: leżał w łóżku i buty sobie oglądał.

– Trzeba go było dać dyrektorowej.

– Kiedy pani dyrektorowa załatwiała się z dziećmi; trochę było za głośno, więc dałem nura.

– Polecisz z listem na Hożą, wiesz...

– Parę razy. Zaczyna niewiasta! jak wczoraj jeden pan w krzesłach powiedział na pannę Nicolette.

– Zaniesiesz, dostaniesz odpowiedź i przylecisz natychmiast.

– Panie reżyserze, zarobię, co, prawda?... bo takim biedny, psiakość słoniowa, że.....

– Dostałeś przecież wieczorem à conto.

– I... fajgla! Rozmieniłem go zaraz na piwonie i serdelansy. Zapłaciłem z reszty komorne, dałem à conto swojemu szewcowi, ratę na premiówkę i czysto!

– Małpa zielona jesteś!... Masz za drogę.

– Błogosławione ręce, co dają czterdziestki! – zawołał komicznie, szasnął butami i zniknął, podskakując z uciechy.

– Ustawić scenę do próby! – krzyknął reżyser i usiadł pod werandą.

Towarzystwo schodziło się powoli. Witali się w milczeniu i rozchodzili po ogródku.

– Dobek! – zawołał reżyser na wysokiego mężczyznę, idącego wprost do bufetu – chlapiesz od rana, a na próbie nic cię nie słyszę, suflujesz pod psem!...

– Reżyserze! miałem taki sen: Noc... studnia... potykam się... lecę w głąb... Strach mnie ścisnął... krzyczę... ratunku niema... chlup!... jestem w wodzie... Brr!... tak mi teraz zimno, że niczem się rozgrzać nie mogę.

– Nie zawracaj swoimi snami. Pijesz od rana do nocy.

– Bo nie mogę pić, jak wszyscy: od nocy do rana. Zimno... obrzydliwe zimno!...

– Każę ci dać herbaty.

– Jestem zdrowy, panie Topolski, a ziółek używam tylko w chorobie. A *herbu teus, team, czy herbateum*... ziółka! Moszcz... wyciąg, pierwiastek żytni, to godne tylko pełnego człowieka, a za takiego mam się honor mieć, panie reżyserze.

Wszedł dyrektor, a Dobek poszedł do bufetu.

– Obsadziłeś Nitouchę? – zapytał reżysera po przywitaniu.

– Jeszcze niezupełnie. Te baby, to... są trzy kandydatki na Nitouche.

– Dzień dobry, dyrektorze! zawołała jedna z filarów teatryku, Majkowska, aktorka przystojna, w jasnej sukni, w jasnej jedwabnej okrywce, w białym kapeluszu z ogromnym strusiem piórem. Była różowa od wypoczynku nocnego i od niedostrzegalnej warstewki różu. Oczy miała wielkie, ciemnobłękitne, usta pełne i ukarminowane, twarz klasyczną i bardzo dumne ruchy. Grywała pierwsze role.

– Chodź-no dyrektor, mam interesik...

– Zawsze na usługi pani. Może pieniędzy?... – rzucił frasobliwie dyrektor.

– Tymczasem... nie. Co dyrektor pije?

– Ho! ho! poleje się tutaj czyjaś krew! – zawołał, podnosząc komicznie rękę do góry.

– Co dyrektor pije, pytam się?...

– Bo ja wiem. Wypiłbym koniaku, ale...

– Boisz się pan żony?... Nie gra przecież w *Nitouche*.

– To pewne, ale...

– Dwójka!... koniak i przekąska.

– Dasz dyrektor rolę Nitouchy, Nicolecte, co?... Proszę cię o to, dyrektorze; zależy mi na tem ogromnie. Pamiętaj Cabiński, że ja nigdy o nic nie proszę i zrób to...

– To już czwarta!... Boże, co ja cierpię przez te kobiety!

– Któraż chce tej roli?

– A no, Kaczkowska, dyrektorowa, Mimi, a teraz Nicoleta.

– Dwójka!... dalszy ciąg!... – zawołała, stukając kieliszkiem w tackę.

– Dasz dyrektor Nicolecte. Ja wiem z pewnością, że ona nie przyjmie, bo ze swoim drewnianym głosem mogłaby tańczyć, a nie śpiewać, ale, widzi dyrektor, w tem leży cały interes, żeby jej dać tę rolę.

– No – pominąwszy moją babę, ale Mimi i Kaczkowska urwą mi głowę!

– Nie wiele dyrektor straci na tem. Ja biorę na siebie wytłómaczenie im tego. Będziemy mieć pyszną farsę, bo widzisz pan, będzie tu dzisiaj ten jej obywatel. Wczoraj chwaliła się przed nim, że to ją miałeś dyrektor na myśli, ogłaszając w pismach, że rolę Nitouchy grać będzie najpiękniejsza i fertyczna XX.

Cabiński zaczął się śmiać cicho.

– Tylko ani słowa. Zobaczysz dyrektor, co się zrobi. Pozornie, przy nim, ona przyjmie, aby się popisać. Halt ją zaraz weźmie na próbę i sypnie... przy wszystkich; dyrektor odbierzesz jej rolę i dasz komu ci się podoba.

– Straszna pani jesteś w nienawiści.

– Ba, w tem i nasza siła leży.

Poszli na ogródek, gdzie już kilkanaście osób towarzystwa czekało na próbę.

W krzesłach grupami siedzieli dramatyczni i dramatyczne. Śmiechy, żarty, opowiadania, skargi, rozlegały się ze wszystkich stron, na tle strojenia instrumentów w orkiestrze.

Pod werandę przybywało coraz więcej gości. Podnosił się gwar, brzęk talerzy, skrzyp odsuwanych krzesel. Dymy z papierosów unosiły się obłoczkami aż pod żelazne wiązania dachu. Zapanowała codzienna atmosfera restauracji licznie odwiedzanej.

Weszła Janka Orłowska. Usiadła przy jakimś stoliku i zapytała garsona:

– Proszę pana, czy już przyszedł dyrektor teatru?

– Tam!

– Który?

– Co pani każe?

– Przepraszam, który z tamtych panów jest Cabińskim?

– Siódemka!... cztery wódki! – zawołano z boku.

– Zaraz, zaraz!

– Piwa!

– Który z tamtych panów jest dyrektorem? – zapytała Janka po raz drugi cierpliwie.

– Zaraz pani będę służył! – odpowiedział, kłaniając się na wszystkie strony i nasłuchując.

Czuła się ogromnie onieśmieloną. Wydało się jej, że patrzają na nią wszyscy, że garsoni, przechodząc obok z rękoma pełnymi kuflów lub talerzy, przechylają się i rzucają takie dziwne spojrzania, że się rumieniła bezwiednie.

Siedziała dosyć długo, zanim garson przybiegł, przynosząc zarazem zamówioną kawę.

– Chce się pani widzieć z dyrektorem?

– Tak.

– Siedzi w pierwszym rzędzie krzesel, od ogródka. Ten gruby, w białej kamizelce, o!... widzi pani?...

– Widzę. Dziękuję!

– Może poprosić?

– Nie. Zresztą zajęty...

– Rozmawia tylko.

– A ci panowie, z którymi rozmawia?...

– To także nasi: aktorzy.

Zapłaciła za kawę, dając czterdziestówkę. Długo szukał reszty, ale widząc, że ona patrzy w inną stronę, ukłonił się za napiwek.

– Pójdę poprosić...

– Dobrze, ale jak ci panowie trochę odejdą...

– Rozumiem! – powiedział z głupim uśmiechem i odszedł.

Janka wypita śpiesznie kawę i poszła na ogródek. Przeszła obok dyrektora i przyjrzała mu się pobieżnie. Zobaczyła tylko dużą twarz o bladości anemicznej, z sinawymi plamami, niezbyt sympatyczną.

Kilku aktorów, stojących obok niego, sprawiło na niej wrażenie ludzi pięknych.

Zobaczyła w ich gestach, twarzach wygolonych, śmiechach swobodnych, coś tak wyższego od znanych dotychczas mężczyzn, że z pewnym skupieniem wsłuchiwała się w ich głosy.

Scena odsłonięta, zaległa mrokiem, ciągnęła jej oczy swoją tajemniczością.

Widziała po raz pierwszy teatr z bliska i aktorów nie na scenie. Teatr wydał się jej niby świątynia grecka, a tych ludzi, których profile miała przed sobą i których dźwięczne głosy słyszała co chwila, wzięła za prawdziwych kapłanów sztuki, o jakich marzyła nieraz.

Oglądała to wszystko po raz pierwszy i oczyma entuzjastki.

Czuła się bardzo zadowoloną już tem, że mogła oddychać powietrzem prawdziwego teatru.

Rozglądała się ciekawie po wszystkim, gdy nagle zobaczyła, że ten sam garson coś szeptem do dyrektora i nieznacznie wskazuje na nią.

Przeszedł ją jakiś dreszcz obawy, dziwnej i denerwującej; nie patrzyła już, czując, że ktoś idzie do niej, że jakieś spojrzenia ciążyą na jej głowie i okrążają jej postać.

Nie wiedziała jeszcze, od czego zacznie, co powie, jak to zrobi, a czuła, że musi się rozmówić. Podniosła się, gdy zobaczyła Cabińskiego przed sobą.

– Jestem dyrektor Cabiński...

Stała, nie mogąc słowa przemówić z gwałtownego wzruszenia.

– Pani raczyła mnie wezwać?... – wyrzekł i uklonił się z godnością, na znak, że gotów jest słuchać.

– Tak... proszę pana... dyrektora. Chciałam prosić... możeby... – jąkała się, nie znajdując na razie słów odpowiednich.

– Proszę, niech pani spocznie... niech się pani uspokoi... Czy to co tak ważnego?... – szeptał, pochyliwszy się ku niej, a jednocześnie mrugał znacząco na patrzących się aktorów.

– O, bardzo ważne!... – odpowiedziała podnosząc twarz na niego. – Chciałam prosić pana dyrektora o przyjęcie mnie do teatru.

To ostatnie zdanie wypowiedziała szybko, jakby obawiając się, aby jej odwagi i głosu nie zabrakło.

– A!... tylko tyle?... angażować się panna chciała?...

Wyprostował się i przymrużonymi lekceważąco oczyma wpatrywał się krytycznie w jej twarz.

– Umyślnie przyjechałam... Pan dyrektor nie odmówi mi, prawda?...

– U kogo pani byłaś?

– Kiedy nie rozumiem... nie wiem, co...

– W czym towarzystwie?... gdzie?...

– Nie byłam jeszcze w teatrze. Przyjechałam z prowincji umyślnie.

– Nigdzie!?... Nie mam miejsca!

I zawrócił się do odejścia.

Jankę pochwyił jakiś rozpaczliwy strach, że odejdzie z niczem, więc z odwagą i prośbą ogromną w głosie zaczęła mówić z pośpiechem:

– Panie dyrektorze!... Umyślnie przyjechałam do pańskiego towarzystwa. Tak kocham teatr, że żyć bez niego nie potrafię!... Nie odmawiaj mi pan! Nikogo tutaj w Warszawie nie mam. Zgłosiłam się do pana, bo czytałam o nim tak wiele w pismach. Czuję, że mogłabym grać... Umiem na pamięć tyle ról!... Zobacz pan, abym tylko zagrać mogła... zobaczy pan!...

Cabiński milczał.

– To może jutro przyjść?... parę dni mogę poczekać... – dodała jeszcze, widząc, że nie odpowiada, a przypatruje się jej tylko z uwagą.

Mówiła krótko, urywając, głos drżał prośbą i temperamentem, modulował się z łatwością i miał tyle oryginalności w dźwięku, tyle ciepła, że Cabiński słuchał jej z przyjemnością.

– Teraz nie mam czasu, ale po próbie rozmówimy się lepiej – odpowiedział.

Chciała mu uściśnąć rękę i podziękować za obietnicę, ale zabrakło jej do tego odwagi, gdyż patrzyło na nią w tej chwili coraz więcej osób.

– Hej, Cabiński!

– Człowieku!

– Dyrektorze! cóż-to?... randka?... w biały dzień, w oczach wszystkich, za ledwie o trzy piętra od Pepy?...

Wołano do niego z krzeseł kiedy się rozstał z Janką.

– Jaka tam randka!...

– Któż to taki?...

– Dyrektor nie mydluj, uważaj... Tylko to nieostrożnie, tak na proscenium...

– Mamy cię!... Udawałeś kryształ, mój bursztynie!... wołał jeden z towarzyszy, chudy, o ustach wiecznie skrzywionych i jakby ciekących żółcią i złościwością.

– Idź-że do dyabła, mój kochany!... ani mi się śniło!... pierwszy raz ją widzę...

– Ładna kobieta!... Czegóż chce?...

– Adeptka jakaś... chce się angażować.

– Weź dyrektor. Ładnych kobiet nigdy nie jest za dużo na scenie.

– Dostyc tych krowient ma dyrektor.

– Ba, a chóry?...

– Nie bój się, Władek, nie obciążają one budżetu, bo Caban ma zwyczaj niepłacenia, szczególnie kobietom młodym, przystojnym i początkującym.

– Glas zawsze przesadza... to jego największa wada!...

– Zapomniałeś dyrektor o najważniejszej wadzie: że cię duszę o gazę. A może to zaleta, co?...

– Oj, co nie, to nie!... zaprotestował gorąco Cabiński.

Wybuchnęli śmiechem.

– Każ dyrektor dać sznapsa, to coś powiem – zaczął znowu Glas.

– No, co?

– Że reżyser każe dać po drugim...

– Mój śmieszny panie, twój brzuch rośnie kosztem dowcipu... gadasz już głupstwa.

– Tylko dla głupich... – odciął złośliwie Glas Władkowi i poszedł za kulisy.

– Meches, skórka na buty! – mruknął za nim Władek.

– Jasiu!... – zawołała dyrektorowa z pod werandy.

Cabiński pobiegł na spotkanie.

Była to wysoka, tęga kobieta, o twarzy pełnej śladów wielkiej piękności, starannie malowaniem podtrzymywanej; rysy miała grube, oczy wielkie, wąskie usta i czoło bardzo niskie. Ubrana była przesadnie młodo i jasno, tak, że z daleka sprawiała wrażenie młodej kobiety.

Była bardzo dumną z męża dyrektora, ze swojego talentu dramatycznego i z dzieci, których miała czworo. Lubiła w życiu grać rolę matrony, zajętej tylko domem i wychowywaniem dzieci, a była największą komediantką w życiu i za kulisami: na scenie grywała matki dramatyczne i wszystkie starsze, nieszczęśliwe kobiety, nie rozumiejąc nigdy dobrze ról swoich, ale grywała z przejęciem i patetycznie.

Była straszną dla sług, dla dzieci własnych i początkujących aktorek, w których podejrzewała talent. Miała złośliwy temperament maskowany wobec ludzi jakimś przesadnym spokojem, oraz udawaniem słabości i choroby nerwów.

– Dzień dobry panom!... – wołała, uwiesiwszy się z niedbałością u ramienia męża.

Otoczyło ją towarzystwo. Majkowska ucałowała ją na przywitanie serdecznie.

– Jakże dyrektorowa ślicznie wygląda dzisiaj! – zawołał Glas.

– Poprawił ci się wzrok, bo dyrektorowa zawsze ślicznie wygląda! – rzucił Władek.

– Jakżeż zdrowie?... bo wczorajsze przedstawienie musiało dyrektorową dosyć kosztować?...

– Nie powinna dyrektorowa brać takich ról męczących.

– Grała dyrektorowa pysznie!... stałyśmy wszystkie w kulisach...

– Prasa płakała... Widziałem, jak Żarski wycierał oczy chustką.

– Kichał przedtem... ma ogromny katar – zawołał jakiś głos z boku.

– Publiczność była wprost olśniona i porwana trzecim aktem... wstawali w krzesłach.

– Chcieli uciekać od tej przyjemności.

– Ileż bukietów dyrektorowa dostała?

– Spytajcie się dyrektora, on rachunek płacił.

– Ach!... mecenas jesteś dziś niegodziwym! – zawołała słodko dyrektorowa, siniejąc ze złości, gdyż aktorzy krzywili się już z powstrzymanego śmiechu.

– To z dobrego serca... Wszyscy mówią same piękne rzeczy, niechże ja powiem... rozsądne.

– Impertynent z mecenasa!... jak można?... a zresztą cóż mnie obchodzi teatr!... Grałam dobrze, to Janka zasługa; grałam źle, to wina dyrektora, że mnie zmusza do występów, do przyjmowania coraz nowych ról!.. Jabym tak chciała zamknąć się z moimi dziećmi, nie wychodzić poza sprawy domowe... Mój Boże!... sztuka to wielka rzecz, a myśmy wszyscy przy niej tacy mali, tacy mali, że każdego występu boję się, jak ognia!... – deklamowała przed mecenasem dyrektorowa.

– Dyrektorowo, proszę na słóweczko – zawołała Majkowska.

– Widzi mecenas, nawet o sztuce niema czasu pomówić! – westchnęła ciężko i poszła.

– Stary koczokodan!

– Wieczna krowienta!... zdaje się jej, że jest artystką!

– Wyła tak wczoraj na scenie, że... jak Boga kocham, można się było wściec!

– Rzucała się po scenie, jak w wielkiej chorobie!

– Cicho!... bo to według niej jest realizm!...

– Już mógłby Caban, bez szkody dla siebie i dla teatru, puścić ją na trawę...

– Tyle dzieci!...

– Myślisz, że ona się niemi zajmuje?... a jakże!... Dyrektor i niania.

Takie zdania i uwagi krzyżowały się po odejściu dyrektorowej z Majkowską.

Komedia uniesień, zachwytów, życziwości trwała tylko chwilę.

Pod werandą Majkowska kończyła rozmowę.

– Daje mi dyrektorowa słowo?

– Dobrze, zrobi się zaraz.

– Musi tak być. Nicoleta zrobiła się po prostu niemożliwą w towarzystwie. Ośmiela się już krytykować grę pani!... Wczoraj słyszałam, jak wygadywała przed redaktorem – mówiła Majkowska.

– Jakto?... mnie się czepia?... – zapytała ze złością dyrektorowa...

– Nigdy się w plotki nie bawię, nie umiem siać zawiści, ale...

– Cóż ona mówiła?... przed redaktorem, mówi pani?... Nędzna kokietka.

Majkowska uśmiechnęła się nieznacznie, ale prędko odpowiedziała:

– Nie powiem... nie lubię głupstw powtarzać!...

– Zapłaci się jej za nie!... Damy jej radę!... – szepnęła dyrektorowa.

– Dobek! sufler... do budy!

– Próba!

– Na scenę! na scenę!... – zaczęto wołać z widowni.

– Chodźmy!... Czy dyrektorowa dzisiaj co gra?...

– Nie.

– Dyrektorze! – zawołała Majkowska – już można... dyrektorowa się zgadza.

– Dobrze moje robaczki, dobrze...

Poszedł pod werandę, gdzie już siedziała Nicoleta z jakimś niemłodym jegomością, ubranym bardzo starannie.

– Prosimy na próbę... Dzień dobry dziedzicowi dobrodziejowi!...

– Z czego próba? – spytała Nicoleta.

– Z *Nitouche*... przecież ją pani grasz... ogłaszałem już o tem w pismach...

Kaczkowska, która w tej chwili przyszła i patrzyła, zasłoniła się szybko parasolką, żeby nie parsknąć śmiechem z komicznego zakłopotania Nicolety.

– Nie jestem usposobiona teraz do próby... – rzekła, przypatrując się Gabińskiemu i Kaczkowskiej.

Przeczuwała widocznie jakiś podstęp... ale Cabiński z najpoważniejszą miną wręczył jej rolę.

– Proszę pani rolę... Zaczynamy zaraz – rzekł, odchodząc.

– Dyrektorze!... mój złoty dyrektorze, róbcie teraz próbę beze mnie!... tak mnie jakoś głowa boli, że nie wiem czy będę mogła śpiewać – prosiła.

– Nie można, zaraz zaczynamy.

– Niech pani śpiewa!... ja przepadam za śpiewem pani!... – prosił obywatel, całując ją po rękach.

– Dyrektorze!

– Co, mój sopranie?...

I dyrektorowa wskazała na stojącą w kulisie Jankę.

– Adeptka.

– Angażujesz?

– Potrzeba do chórów... Siostry z Pragi odpłynęły, bo robiły tylko skandale.

– Dosyć sobie brzydka!... – zaopiniowała Cabińska.

– Ale bardzo sceniczna twarz!... ma głos ogromnie ładny ale dziwny...

Janka nie straciła ani słowa z tej rozmowy, prowadzonej półgłosem; słyszała także chór chwalaący dyrektorową i drugi chór – drwin... Patrzyła się zdziwionym wzrokiem na wszystkich, nic nie rozumiejąc, co to znaczy?...

– Ze sceny! ze sceny!

Usunęli się wszyscy w kulisy, bo wpadł na scenę cały tłum w galopie.

Kilkanaście kobiet, przeważnie młodych, ale o twarzach wymalowanych, suchych, przygryzionych nerwowością i gorączkowym życiem teatru. Były tam blondynki, brunetki, małe, wysokie, szczupłe i tłuste, jakaś pstra zbieranina ze wszystkich warstw życia. Były pomiędzy nimi twarze madonn o wyzywających spojrzeniach i twarzą płaskie lub okrągłe, bez wyrazu i inteligencji, dziewczyn z ludu.

Dwie cechy tylko miały wspólne: były wszystkie ubrane mniej lub więcej przesadnie, modnie i miały w oczach to coś, co się tylko nabywa na scenie – jakiś wyraz swobodnej beztroski i cynizmu znudzonego.

Zaczęły chórem śpiewać.

– Halt!... Na nowo! – ryczały prawie olbrzymie bokobrody i wielka, czerwona twarz dyrektora orkiestry.

Cofnęły się i weszły ociężale, zawodząc jakąś zbiórową kankaniadę, ale co chwila rozlegał się trzask batuty o pulpit i skrzek:

– Halt!... na nowo! Bydło!... mrucał pod nosem, wywijając pałeczką.

Próba chórów ciągnęła się dosyć długo.

Aktorzy, rozproszeni po krzesłach, ziewali znudzeni, a ci, co brali udział w wieczornym przedstawieniu, chodzili za kulisami, obojętnie czekając na swoją kolej próby.

W męskiej garderobie Wicek czyścił buty reżyserowi i śpiesznie opowiadał o rezultacie wycieczki na Hożą.

– Oddałeś?... odpowiedź masz?...

– Ojej!...

I podał Topolskiemu długą różową kopertę.

– Wicek!... jak słowo piśniesz o tem kulfonie, to wiesz, co cię czeka.

– Nie nowina!... Ta pani to samo mi powiedziała, tylko, że z dodatkiem rubla.

– Morys! – zawołała ostro Majkowska, stając we drzwiach garderoby.

– Zaczekaj... z jednym oczyszczonym butem nie pójde przecież!...

– Czemu służąca nie oczyściła?

– Służąca jest właściwie u ciebie; ja się jej nigdy o nic doprosić nie mogę.

– To przyjmij sobie drugą.

– Dobrze, ale tylko dla siebie.

– Nicoleta, na scenę!

– Zawołać tam!... – krzyknął ze sceny Cabiński w krzesła.

– Chodź, Morys, będziemy mieli hecę!

– Nicoleta, na scenę! – wołano z krzesel.

– Zaraz! Jestem...

Nicoleta z butersznyttem w zębach i pudełkiem cukierków pod pachą, biegła, aż podłoga dudniła.

– Cóż u dyabła!... próba... czekamy... – mruknął gniewnie dyrektor orkiestry „Halt”, bo go tak przezywano w teatrze.

– Na mnie nie czekacie tylko.

– Właśnie tylko na panią, a pani wiesz, że nie przyszliśmy tutaj na gadanie... Zaczynać!

– Ja nic jeszcze nie umiem. Niech Kaczkowska śpiewa... to dla niej partya!

– Dostałaś pani rolę, tak?... no, to niema co mówić!... Zaczynajmy.

– Dyrektorze, możeby po południu?... ja teraz...

– Zaczynać! – krzyknął gniewnie Halt, uderzając w pulpit.

– Niech pani spróbuje... ta partya leży w głosie pani... Ja sama mówiłam dyrektorowi, aby ją dał pani – zachęcała z przyjaznym uśmiechem Cabińska.

Nicoleta słuchała, wodząc oczyma po towarzyszach, ale wszystkie twarze były nieruchome, tylko ten jej obywatel uśmiechał się miłośnie z krzesel.

Halt zrobił ruch pałeczką, orkiestra się ozwała, sufler poddał pierwsze słowa.

Nicoleta, która była znaną z tego, że nigdy się roli nauczyć nie mogła, teraz utknęła od razu na pierwszym frazesie i zaśpiewała, jak tylko można, fałszywie.

Zaczęli po raz drugi; szło już lepiej, ale Halt umyślnie sfalszował takt, że ucięła niesłychanego kiksa.

Jednogłosny chór śmiechów podniósł się na scenie.

– Krowa muzyczna!

– Do baletu z takim słuchem i głosem!

– Dobry do zwoływania kur, jak zostanie dziedziczką!

Nicoleta prawie z płaczem podeszła do Cabińskiego.

– Mówiłam, że teraz nie mogę śpiewać... nie miałam czasu nawet zajrzeć w rolę.

– Aha, więc pani nie może?... Proszę o rolę!... Kaczkowska zaśpiewa...

– Mogę śpiewać, ale teraz nie umiem... sypać się nie chcę!

– Obywatelom masz pani czas głowę zawracać, robić intrygi, obgadywać przed prasą, jeździć po Marcelinach... to jest czas!... – syczała Cabińska.

– Pilnuj lepiej dyrektorowa swoich facetów i swoich dzieci... ode mnie ci zasię!...

– Dyrektorze! ubliża mi ta jakaś...

– Proszę o rolę... Zaśpiewasz pani sobie w chórach, kiedy partyi nie możesz.

– O, nie!... właśnie teraz grać ją będę!... Nie dbam o podłe intrygi!

– Do kogo to pani mówisz?... – zawołała Cabińska, zrywając się z krzesła.

– No, choćby do pani.

– Nie jesteś pani w towarzystwie!

– A zdychajcie tu sobie! – zawołała, rzucając rolę w twarz Cabińskiego. – To dawno wiadomo, że w waszym towarzystwie niema miejsca dla uczciwej kobiety!...

– Precz stąd, podła awanturnico!

– Drwię sobie z ciebie, stara ropucho!... Mam już dosyć waszej szopki!...

– Idź, idź!... przyjmą cię... w Koryncie!

– Pójdzie do dziedzica na guwernantkę – zawołała szyderczo Majkowska.

– Zaczekam, aż dyrektorowa założy ten Korynt... ze swoich córek!

Cabińska poskoczyła do niej, ale w połowie drogi stanęła raptownie i wybuchnęła płaczem.

– Boże mój! moje dzieci!... Jasiu!... moje dzieci!...

Zachwiała się na nogach, duszona po prostu przez spazm złości histerycznej.

– Na prawo jest kanapka... będzie pani wygodniej zemdleć! – zawołał ktoś z krzesel.

Towarzystwo uśmiechało się nieruchomymi twarzami i szydziło półsłówkami.

– Pepa!... żono!... uspokój-że się... Na Boga, że też nigdy bez szopek się nie obejdzie.
– To ja je robię?...
– Nie mówię przecież do ciebie!... ale mogłabyś się uspokoić... nic ci się nie stało!
– To takim jesteś mężem, takim ojcem!... takim dyrektorem?!... – krzyczała, jak szalona. – Pozwalasz mi ubliżać takiej... ulicznicy i nic nie mówisz?... znieważa twoje dzieci, i nic nie mówisz? zrywają spektakle, i nic nie mówisz?!...

– Nie płacisz nikomu i także nic nie mówisz!... – suflował ktoś z kulis.

– Trzymaj się, Cabiński!

– Wytrwaj choć godzinę, a pójdziesz prosto do nieba, męczenniku!

– Panie – pytał obywatel, kręcąc za guzik od surduta jednego z aktorów – panie!... czy to grają co nowego, czy to to *Nitouche*, co?...

– Najpierw, to jest guzik, któryś mi pan ukrecił!... zawołał aktor, odbierając z rąk zmieszanego obywatela guzik – a tamto, panie dobrodzieju, to pierwszy akt hecy rozczulającej, pod tytułem: *Za kulisami*; daje się to codziennie i z olbrzymim powodzeniem!...

Scena opustoszała.

Orkiestra nastrajała instrumenty, Halt poszedł na piwo, a towarzystwo rozsypało się po ogródku.

Cabiński chwycił się oburącz za głowę i biegał po scenie, jak szalony, wyrzekając niby ze złością i niby bolejąco, bo żona spazmowała jeszcze cicho.

– Co za ludzie! co za ludzie! co za szkandale!...

Janka, przestraszona brutalnością tych scen, cofnęła się głębiej w kulisę i nie wiedziała, co począć ze sobą. Czowała, że teraz niepodobna mówić z dyrektorem.

– Artyści!... teatr!... – myślała, przeniknięta do głębi rozczarowaniem i uczuciem niesmaku. Zabolało ją to i wstydziło niezmiernie.

– Kłóć się, jak... jak... – myślała, nie mogąc na razie znaleźć porównania.

Stała, nie rozumiejąc nic.

Zaczynała tylko przypuszczać, że tutaj nic z tych uśmiechów, rozmów, spojrzeń, jakie słyszała i widziała, nie było prawdą. Wydało się jej, że wszyscy grają jakieś role, że wszyscy udają przed wszystkimi. Odczuwała to intuicyjnie, ale nie była jeszcze pewną, bo nie mogła pojąć w swej prostocie, dlaczego się to robi.

A naprawdę, to tutaj nikt nie grał; wszyscy byli sobą najzupełniej, to jest – byli aktorami.

Próba, po niedługiej przerwie, rozpoczęła się na nowo – z Kaczkowską w roli tytułowej bohaterki.

Majkowska była w przepysznym humorze, bo pozbyła się rywalki w niektórych rolach i dosięgła przez nią swojej najserdeczniejszej – Cabińskiej.

Dyrektor, po odejściu żony, zacierał ręce z uciechy i kiwnął na Topolskiego. Poszli na wódkę do bufetu. Z pewnością coś zarobił na zerwaniu z Nicoletą.

Stanisławski, najstarszy wiekiem z towarzystwa, chodził po garderobie, splotował i mrucał do siedzącej z podwinętymi nogami na krześle Mirowskiej.

– Szkandale i szkandale!... skąd tu marzyć o powodzeniu!...

Mirowska potakiwała mu, uśmiechając się blado i robiła jakąś chustkę włóczkową na drutach.

Po próbie, Janka przystąpiła śmiało do Cabińskiego.

– Panie dyrektorze... – zaczęła.

– A, pani?... Przyjmę panią. Niech pani przyjdzie przed spektaklem, to się rozmówimy... Nie mam teraz czasu...

– Dziękuję panu bardzo!... – powiedziała uradowana.

– Masz pani jaki głos?

– Głos?

– To jest: śpiewasz pani?

- W domu trochę śpiewałam... ale scenicznego głosu to pewnie nie mam... zresztą ja...
- Przyjdź pani, tylko wcześniej, to spróbujemy... ja tam powiem dyrektorowi muzyki.

III

Dzień był bardzo piękny i ciepły.

Łazienki dyszały wiosną... Róże kwitły i jaśminy rozlewały duszącą woń po parku... Było tak cicho i pięknie, że Janka siedziała parę godzin nad stawem, zapominając o wszystkim.

Łabędzie z podniesionymi skrzydłami, niby chmurki białe, płynęły po błękitnej tafli wody; marmurowe posągi bóstw promieniowały czystą białością i wnosiły szlachetnymi liniami w tę słoneczną ciszę parku zielonego jakiś ton antycznego piękna...

Zieleń świeża, puszysta, niby morze wielkiego szmaragdu, nasyczonego złotem słońca, rozlewała się wokoło.

Czerwone kwiaty kasztanów spływały bez szelestu na ziemię, na wodę, na trawniki i, niby różowe płomyki migotały w cieniach drzew.

Gwar miasta nadpływał przycichłym echem i rozlewał się po gąszczach.

Czasem wiatr zaszumił w gałęziach, zmarszczył atlasową gładkość wody i przeleciał, pozostawiając po sobie drżenie ciszy jeszcze głębsze.

Janka przysła tutaj wprost z teatru. Potrzebowała samotności z przyzwyczajenia; nie mogła w gwarze miasta myśleć, ani przyciszyć w sobie serca, rozkołysanego radością dostania się do teatru, i chciała się pozbyć przykrości, jaką jej sprawiły te kłótnie na próbie.

Niepokoilo ją to, co widziała; czuła w sobie jakiś tępy ból zawodu, podobny do wahania. Cień jakiś ją straszyl.

Nie chciała nic pamiętać, tylko sobie powtarzała raz po raz:

– Jestem w teatrze!... jestem w teatrze!...

Jakby sama potrzebowała w to uwierzyć, że spełniły się marzenia lat całych, że ta śniona przyszłość jest już przed nią... że jej „jutro” przedzieli się od „wczoraj” niezmierną odległością.

– Jak to będzie?... – myślała.

I przesuwaly się przed nią postacie tych przyszłych koleżanek, instynktownie przeczuwała, że w tych twarzach niema nic przyjaznego, tylko jakby zawiść i obłuda, i że ona i tutaj nie znajdzie ręki ani serca przyjacielskiego, że tak musi iść sama, jak szła dotychczas.

Rozmarzała się znowu i wtedy robiło się jej wszystko obojętnym, bo uczuwała w sobie jakąś siłę, czy talent – i wtedy zdawało się jej, że będzie dosyć wystąpić raz, zagrać jakąś rolę, aby zdobyć sobie wszystko i iść naprzód!

Ale gdzie?... dokąd?... Nie wiedziała, gdzie ma dojść, nie widziała żadnej granicy, pragnęła tylko z całą gwałtownością swej natury iść naprzód ciągle i nieustannie wzlatywać w nieskończoność...

Wybierała sobie w myśli rolę, w jakiej chciałaby wystąpić po raz pierwszy.

Było jej tak dobrze siedzieć i marzyć, że już później prawie nic nie myślała, tylko z biernością poddawała się przyjemności oddychania powietrzem wonnym i czystym, patrzenia na łagodne barwy nieba i drzew.

Czuła w sobie tentną tej przyrody bujnej, rozrastającej się niepowstrzymanie i miała w sobie to samo roślinne szczęście życia, ciche i mocne. Marmurowe postacie bogów i te młode pędy wierzb, zdawały się jej błogosławić z życzliwością głęboką i szeptać słowa zachęty i obietnic.

Wiosnę czuła w sobie, rwanie się młodego i silnego życia – i te wszystkie nieśmiertelne, niezniszczone, idące przez wieki i przez ludzkość, przez uśmiechy i cierpienia – siły duszy powszechnej i uczucia.

Zbudził ją z tego rozmarzenia skrzyp piasku. Szedł jakiś młody człowiek, który tuż na sąsiedniej ławce usiadł i zdjął czapkę; zobaczyła wtedy wysokie, bardzo białe czoło, brwi silnie zakreślone i oczy siwe. Położył się prawie na ławce i zaczął czytać jakąś małą książeczkę.

Widziała przesuwające się wrażenia po jego ruchliwej, bladej twarzy: marszczył brwi, to podnosił siwe oczy w górę i tonął w długiej zadumie, a po ustach wił mu się uśmiech rozmyślenia.

Przechodząc obok niego, odruchowo spojrzała na książkę: *Musset – Poezye*.

Zerwał się z ławki i bystro spojrzął na nią; odwróciła głowę, żeby nie zobaczył jej uśmiechu i czuła na sobie jego spojrzenie dosyć długo, ale gdy się odważyła obejrzeć, leżał znowu z głową w dłoniach ukrytą i czytał.

Zatrzymała się zdziwiona przed Satyrem tańczącym, jakby w klatce uplecionej z bżów zielonych. Nie mogła się oderwać od tej twarzy ironicznej, szyderskiej, śmiejącej się głośno ostrymi rysami; od tych ruchów rozkiełznanej wesołości.

Gęste, poczerńiałe kędziory, poskręcane, niby kwiaty hyacyncu, zdawały mu się trząść w tańcu, a te pogięte, koźle nogi i ten grymas komiczno-bachancki jego rysów złośliwych, przejmowały ją lękiem, którego nie umiała sobie wytlómaczyć.

Satyr śmiał się, jakby z tego słońca, co złociło jego kamienne ciało i nadawało mu pozór życia, z tej wiosny, co wrzała dokoła, z siebie i ze świata; śmiał się i szydził, obojętny na wszystko, co nie było samą wesołością.

Poszła, ale kilka razy zdawało się jej, że w gąszczach przebłyskuje twarz wykrzywiona i szyderska, że słyszy cichy śmiech, przenikający ją zimnem.

Zasepiła się, bo na jej wrażliwe usposobienie to spotkanie podziałało dosyć przykro. Ugryzły ją w serce usta kamienne – twarde usta!

Śpiesznie pobiegła do hotelu, w którym stanęła za poradą współtowarzyszek podróży do Warszawy. Hotel ten był tani i odległy; lokowali się w nim przeważnie drobni oficjaliści rolni i aktorzy małych towarzystw prowincjonalnych.

Dano jej mały pokoik na trzecim piętrze, z oknem wychodzącym na dachy staromiejskie, czerwone i biegnące w pokrzywionych liniach.

Był to tak brzydki widok, że przyszedłszy z Łazienek, z oczyma i duszą pełną zieleni i barw słonecznych, natychmiast spuściła roletę i zabrała się do częściowego rozpakowania kufra.

Nie miała jeszcze czasu myśleć o ojcu. Miasto, które widziała po raz pierwszy, gwar, jaki ją otoczył, zaraz na dworcu, zmęczenie podróży i ostatnimi chwilami w Bukowcu, potem te gorączkowe starania o zaangażowanie się do teatru, próba, Łazienki, oczekiwanie wieczoru i tej wstępnej próby, wszystko to tak ją całą zajmowało, że prawie zapomniała o domu.

Ubierała się długo i starannie, bo chciała wyglądać dobrze.

Kiedy przybyła do ogródka, światła były już pozapalane i publiczność zaczynała się schodzić.

Poszła śmiało za kulisy.

Maszyniści ustawiali dekoracje; z towarzystwa nie było jeszcze nikogo.

W garderobach gazy płonęły jasno. Krawiec szykował jaskrawe kostyummy, a fryzyer, pogwizdując, czesał jakąś perukę o długim, jasnym warkoczem.

W damskiej garderobie, jakaś stara kobieta szyła coś, stojąc pod światłem gazu.

Janka chodziła po kątach i oglądała wszystko, ośmielona tem, że nikt na nią nie zwracał najmniejszej uwagi. Ściany murów poza olbrzymimi płachtami dekoracji, były brudne, poobijane z tynków i pokryte jakąś lepka wilgocią, przejmującą wstrętem. Brud panował na podłogach, przystawkach, meblach poobdzieranych i dekoracjach, które się jej wydały nędznymi łachmanami.

Woń mastyksu, szminek i włosów przypiekanych, rozwłócząca się po scenie, sprawiała jej nudności.

Oglądała zamki wspaniałe, komnaty królów operetkowych, krajobrazy olśniewające – i zobaczyła z bliska marną mazaninę, która mogła zadowolnić tylko grube zmysły i z daleka. W rekwizytorni ujrzała tekturowe korony; aksamitne płaszcze były tylko marnym welwetem, atlasy – kitajką, gronostaje – perkalem malowanym, złoto – papierem, zbroje tekturą, miecze i sztylety – drzewem.

Kłamstwo! kłamstwo! kłamstwo!

Przyglądała się temu sztuczemu, kłamanemu przepychowi z pogardliwą wyższością. Oglądała to swoje przyszłe królestwo, jakby chcąc się przekonać, czym jest, co zawiera w sobie?... a że było blagą, szychem, kłamstwem, komedią – nie dziwiła się jakoś temu; widziała nad tem wszystkim rzecz wyższą nieskończenie – sztukę.

Scena jeszcze nieustawiona, była słabo oświetloną. Przechodziła ją po kilka razy krokiem posuwistym, jak heroina; to znowu lekkim, pełnym wdzięku i powiewności dziewczątek, albo prędkim, gorączkowym, takim, co to ze sobą niesie śmierć, przekleństwo, zniszczenie – i twarz jej odpowiednio się układała, oczy gorzały płomieniem Eumenid, burz żądz, walki, lub rozpalone nastrojem miłości, tęsknoty, niepokoju, paliły się, niby gwiazdy w noc wiosenną.

Przeobrażała się bezwiednie, pod wpływem przypominania sobie sztuk i ról, że zapomniiała o wszystkim, nie zważając na posługaczy, chodzących obok niej.

Czuła się w tej chwili pochłonięta świętym ogniem sztuki; ten dreszcz, taki znany wszystkim prawdziwym artystom, przenikał ją na wskrós...

Skupiała się w tej jedynej szczęśliwości dusz wyższych, jaką daje zatopienie się w ekstazie, w kontemplacji idei lub wrażeń...

– Tak samo mój Oleś robił... tak samo! – powiedział ktoś cicho w kulisie, od strony kobiecych garderób.

Janka zatrzymała się zmieszana i podeszła bliżej.

Stała tam jakaś kobieta, średniego wieku i wzrostu, o suchej twarzy i surowym spojrzeniu.

– Pani się zaangażowałaś do nas? – zapytała ostrym, energicznym głosem stara, i okrągłe, sowie oczy, wlepiła przenikliwie w Jankę.

– Jeszcze nie zupełnie... Mam mieć teraz próbę z dyrektorem muzyki. Prawda, pan Cabiński mówił nawet, że przed przedstawieniem!... – zawołała, przypominając sobie.

– Aha! z tym opojem...

Janka spojrzała na nią, zdziwiona ostrym dźwiękiem jej głosu.

– Chcesz pani koniecznie być u nas?

– W teatrze?... tak!... Umyślnie przyjechałam.

– Skąd? – zapytała krótko stara.

– Z domu – odpowiedziała Janka, ale już ciszej i z pewnym wahaniem.

– A... pani świeża zupełnie!... no, no! to ciekawe!...

– Dlaczego?... że ktoś, co kocha teatr, chce się dostać do niego?...

– I!... tak każda mówi, a ucieka z domu albo przed czymś... albo dla czegoś...

Janka usłyszała w jej głosie akcent złości jakiejś, więc się nic nie odezwała na to, ale, rozważywszy coś szybko, zapytała:

– Nie wie pani, czy dyrektor orkiestry prędko przyjdzie?...

– Nie wiem! – odburknęła gniewnie stara i odeszła.

Janka została znowu sama; cofnęła się nieco w kulisę, bo na scenie rozciągano olbrzymie, woskowane płótno. Patrzyła się na to bezmyślnie, gdy stara znowu się pokazała i przemówiła łagodniej:

– Poradzę coś pani... Trzeba dyrektora mieć za sobą.

– Żeby to wiedziała, jak zrobić?...

– Masz pani pieniądze?

– Mam, ale...

– Jeśli pani usłuchasz, to poradzę.

– Ależ wszelką radę przyjmę z wdzięcznością; nie mam przecież nikogo, nie wiem, jak się obrócić i do kogo... Pomóż mi pani, proszę o to serdecznie!...

– Trzeba go trochę podpoić, to próba dobrze pójdzie.

Janka spojrzała zdziwiona; zupełnie nie zrozumiała co to znaczy.

Stara uśmiechnęła się z politowaniem.

– Nie rozumiesz pani, widzę?... ale jak kto nawet takich rzeczy nie rozumie, w jaki sposób się wciskać, to nie powinien być w teatrze!...

– Mówiłam przecież z dyrektorem... obiecał mi... więc coś więcej zrobić?...

– Ha! ha! – śmiała się cicho – ha! ha!... to krowienta czysta!...

Po chwili szepnęła:

– Chodźmy do garderoby... objaśnię panią trochę...

Pociągnęła ją za sobą, a potem, wzięwszy się do upinania sukni na manekinie, rzekła:

– Musimy się poznać.

– Orłowska – powiedziała Janka.

– Pseudonim, czy nazwisko? – zapytała, przytrzymując jej rękę.

– Nazwisko – odpowiedziała – myśląc, czy może nie lepiej byłoby użyć jakiego pseudonimu.

– Ja się nazywam Sowińska. Mogę pani być pomocną we wszystkim. Jestem tylko teatralną krawcową, ale robi się i to i owo, co potrzeba. Córka moja ma magazyn strojów, jeśli będzie pani czego potrzebować, proszę do nas...

Głos jej miękł, i czuć było, że łasiła się, przymilała z uśmiechem, chciała wzbudzić zaufanie.

– Proszę pani, jakże z tym dyrektorem?...

– Potrzeba mu kupić koniaku. Tak!... – dodała po chwili – koniak, piwo i przekąska, to może wystarczy, a jeżeli nie, to już on sam powie resztę...

– Ileż to może kosztować?...

– Myślę, że za trzy ruble ugości się go należycie. Niech mi pani da, już ja wszystko załatwię. Trzeba iść zaraz, bo czas.

Janka dała pieniądze.

Sowińska wyszła i w jaki kwadrans przybiegła zdyszana.

– No, dobrze wszystko!... Chodź pani, dyrektor czeka.

Za salą restauracyjną był gabinet z fortepianem, w potrzebie używany na próby śpiewne i korepetycje.

Halt, czerwony i zaspany, już tam czekał.

– Mówił mi Cabiński o pani... – zaczął. – Co możesz pani śpiewać?... Uf! jakże mi gorąco! ... Może uchyla okna? – zwrócił się do Sowińskiej.

Janke zaniepokoił jego głos chrapliwy i twarz rozogniona, pijacka, ale usiadła do fortepianu, nie wiedząc, co wybrać.

– A!... pani gra?... zdziwił się bardzo.

– Tak – odrzekła i zaczęła grać wstęp jakiś, nie widząc znaków Sowińskiej.

– Zaśpiewaj pani, cobądź... niech tylko głos usłyszę... A może mogłabyś pani solo śpiewać?...

– Panie dyrektorze... ja do dramatu, do komedii wreszcie czuję powołanie, ale nigdy do opery.

– O operze nie mówimy przecież...

– Tylko?

– O tem... o operetce! – zawołał, uderzając się w kolano z kankanowem zacięciem. – Śpiewaj pani!... nie mam czasu i spalę się z gorąca.

Zanuciła drżącym od emocji głosem, ale z pewnym wyrobieniem, jakąś piosenkę Tosti'ego. Dyrektor słuchał, a patrzył się na Sowińską, wskazując na spieczone usta.

Kiedy skończyła, zawołał:

– Dobrze... przyjmujemy panią... Uciekam, bo się smażę.

– Możeby się dyrektor z nami... czego... napił?... powiedziała nieśmiało, zrozumiałwszy znaki Sowińskiej.

Trochę się wymawiał, ale w końcu został.

Stara kazała garsonowi przynieść pół butelki koniaku, trzy piwa i przekąski, a wypiwszy swój kufel, wyszła spiesźnie, narzekając na zapomnienie czegoś w garderobie.

Halt przysunął się z krzeselkiem bliżej.

Janka, zmieszana tem sam na sam, milczała, nie wiedząc, o czym mówić.

– Hm!... masz pani głos... ładny głos... – rzekł i położył jej na kolanie swoją olbrzymią, czerwoną łapę, a drugą dolewał koniak do piwa.

Odsunęła się nieco, dotknięta nieprzyjemnie taką poufałością.

– Możesz pani dobrze stanąć... ja pani pomogę...

Wychylił kufel duszkiem.

– Jeżeli pan dyrektor łaskaw... szepnęła, usuwając się jeszcze więcej, bo ją owionął jego oddech gorący, przejęty alkoholem i wzrok jakiś mętny, obejmował niby uściskiem.

– Postaramy się o to... Ja się panią zajmę!...

I od razu, bez wszelkich ceregieli, których był zawsze przeciwnikiem, objął jej kibić i przyciągnął do siebie.

Odepchnęła go z taką siłą, że upadł na stół i dopadła drzwi, gotowa krzyżeć.

– Phi! zostań... Brzdąc jesteś głupi!... zostań!... Chciałem się tobą zająć, pomódz ci, ale kiedyś głupia, dymajże sobie chóry do śmierci!...

Dopił resztę koniak i wyszedł.

Pod werandą siedział Cabiński z reżyserem.

– Ma jaki głos?... – zapytał pierwszy, który widział Jankę wchodzącą do gabinetu.

– Sopran?

– Ho! ho! coś niesłychanego prawie... alt!

Janka siedziała z godzinę w gabinecie, nie mogąc się uspokoić i nie mogąc przyciszyć oburzenia i złości, która ją przejmowała tak gwałtownie, że chwilami gotowa była iść za nim i czembadź, co spotka na drodze, rozbić mu głowę i bić... bić do śmierci!

To, co ją spotkało, było tak brutalne, tak podłe, że wstyd zalewał jej oczy łzami gorzkiego upokorzenia. Odchodziła od przytomności prawie, że to ją mogło coś podobnego spotkać!...

Były mgnienia, w których zrywała się, jakby chciała uciec z tych murów, z pośród tych ludzi, ale opadała natychmiast z jękiem, bo przypominała sobie, że jest bezdomną.

– Gdzie?... i po co?... Zostanę!... zniosę wszystko, jeśli wszystko znieść trzeba, ale dojdę tam, gdzie chcę... muszę!... – mówiła sobie z mocą – muszę!...

I zacinała się w zdeterminowanym uporze. Zbierała w sobie wszystkie siły do walki jakiejś z życiem, z niepowodzeniem, z przeszkodami, ze światem całym, złym i wrogim i przez chwilę widziała się na jakimś zawrotnym szczycie, gdzie była sława i upojenie zwycięstwem, ale nie uczuła się tem szczęśliwą, nie!... bo majaczył wyżej jakiś szczyt inny, potężniejszy, ku któremu pięli się ludzie.

– Dobrzem zapłaciła za przyjęcie do teatru!... – powiedziała do siebie, wchodząc za kulisy.

Sowińska przybiegła do niej, patrzyła jej w oczy długo i nieznacznie chciała wybadywać, ale Janka powiedziała jej wręcz pogardliwie.

– Dziękuję pani za radę i za... pozostawienie mnie samej z bydlęciem!...

– Śpieszyło mi się... nie zjadł pani... to dobry człowiek...

– To niechże pani córkę swoją zostawi temu dobremu człowiekowi!... powiedziała szorstko.

– Moja córka nie jest aktorką – odpowiedziała stara.

– A!... nic to... tylko nauka – szepnęła odchodząc od Sowińskiej.

Spotkała Cabińskiego i, przystępując do niego rzekła:

– Przyjmie mnie dyrektor?...

– Już pani jesteś w towarzystwie. O gazę to się którego dnia umówimy.

– Co będę grać na pierwszy występ?... Jabym chciała grać Klarę we *Właścicielu kuźnic*.

Cabiński spojrzął się bystro i zasłonił usta ręką, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Zaraz... zaraz... musi się pani obznajmić ze sceną. Tymczasem będzie pani występować w chórach. Mówił mi Halt, że pani grasz na fortepianie i znasz nuty. Jutro dostanie pani partye z operetek, jakie grywamy i nauczy się pani chórów.

Janka chciała jeszcze coś mówić, ale Cabiński zakręcił się i poszedł.

– Albo komedyantka, albo ma srogiego bzika!... szepnął, przystając nagle; uśmiechnął się, machnął ręką i poszedł szybko na ogródek.

Janka poszła do garderoby i zaledwie uchyliła drzwi, gdy ją ktoś pchnął, drzwi zatrzasnął przed nosem, i ze złością zawołał:

– Na górę! tam chórzystki!

Chciała uderzyć w drzwi z gniewu, jaki ją opanował, ale zacięła tylko usta i poszła na górę.

Garderoba chórzystek, był to wązki, długi i niski pokój. Szeregi gazowych świateł nad prostymi z desek stołami, biegnącymi z trzech stron przy ścianach, płonęły bez obsłon. Ściany były sklecone z nieheblowanych, ani malowanych desek, popisane nazwiskami, datami, dowcipami i karykaturami, robionemi węglem lub szminką czerwoną.

Na wolnej ścianie wisiały całe pęki sukien i kostyumów.

Ze dwadzieścia kobiet siedziało rozebranych przed lustrami najrozmaitszych kształtów, a przed każdą paliły się świece.

Janka, zobaczywszy niedaleko ode drzwi wolny stołek, usiadła i zaczęła się przyglądać.

– Przepraszam, to moje miejsce! – zawołała jakaś tęga brunetka.

Janka stanęła z boku.

– Pani przyszła do kogo?... – pytała się ta sama, nacierając sobie twarz waseliną – pod puder.

– Nie. Przyszłam do garderoby. Jestem w towarzystwie – powiedziała dosyć głośno.

– Tak?!...

Kilka głów podniosło się z nad stołów i kilka par oczów spoczęło na niej.

Janka powiedziała swoje nazwisko tej brunetce.

– Facetki!... ta nowa nazywa się Orłowska. Poznajcie się! – zawołała brunetka.

Kilka najbliższych siedzących wyciągnęło ręce do przywitania i charakteryzowały się dalej.

– Lodka, pożycz mi pudru.

– Kup sobie!

– Sowińska – krzyczała jakaś przez uchylone drzwi na dół, do garderoby solistek.

– Spotkałam tego samego faceta... wiecie!... Idę sobie Nowym-Światem...

– Błaga!... Myślałby kto, że na takiego dyabła polecą który!

– Kupiłam sobie garnitur... patrzcie!... – wołała niska, bardzo ładna blondynka.

– On ci kupił?...

– Jak Bożę kocham, nie!... kupiłam sobie z oszczędności.

– Perskie oko!... o!... Uwierzymy... Ten farmak składa ci oszczędności, co?...

– Zupełnie lila!... bluzka wolna z karczkiem, z koronek kremowych, spódniczka gładka z rulonikiem u dołu... kapelusz z fiołkami... – opowiadała któraś, nadziewając przez głowę sukienki baletowe.

– Słuchaj-no, ty, liliowa... kiedy mi oddasz pół rubla, bo potrzebuję...

– Wezmę po spektaklu, to ci oddam... słowo!

– Aha! Caban ci da akurat tyle...

– Powiadam pani, że już mnie rozpacz ogarnia... Pokasływał trochę... myślałam, że to nic... aż tu wczoraj zaglądam do gardziołka... plamy białe... Poleciałam po doktora... obejrzał i powiada: dyfteryt! Siedziałam przy nim całą noc, smarowałam co godzinę... nie mógł nic mówić, tylko pokazywał paluszkami, że go bardzo boli... i łezki tak mu płynęły po buzi, że myślałam, iż umrę z bóleści!... Zostawiłam przy nim stróżkę, bo chcę wziąć co pieniędzy... zastawiłam salopę i wszystko mało i mało!... – opowiadała półgłosem sąsiadce, szczupła, ładna, ale o znużonej cierpieniem i biedą twarzy aktorka i zakręcała sobie grzywkę, karminowała usta posiniałe i ołówkiem nadawała wyzywający wyraz swoim zmęczonym bezsennością i łzami oczom.

– Heła! pytała się mnie dzisiaj twoja matka o ciebie...

– To chyba nie o mnie... Dawno matki nie mam.

– Nie gadaj!... Majkowska przecież zna was dobrze i widziała was razem na Marszałkowskiej.

– Majkowska mogłaby sobie kupić okulary, kiedy ślepa... Szłam wtedy ze stróżką do miasta. Zaczęły się śmiać. Ta, co się tak wypierała matki, zgasiła swoją świecę i wyszła zirytowana.
– Wstydzi się matki. Co prawda, ale taka matka!...
– Prosta kobieta. Kompromituje przecież, mogłaby z czułościami nie wyjeżdżać przy ludziach!
– Jakto? matka może kompromitować córkę?... można się wstydzić matki?... – zawołała Janka, siedząca w milczeniu i słuchająca ciekawie tych strzępów rozmów, jakie ją dochodziły, ale dopiero ostatnie słowa oburzyły ją.

– Pani jesteś krowienta świeża, to pani nic nie wiesz – odpowiedziało jej kilka głosów.

– Można?... – zawołał jakiś głos męski z zewnątrz.

– Nie można! nie można! – zakrzyczały energicznie.

– Zielińska! twój redaktor przyszedł.

Chórzystka wysoka, tęga, szeleszcząc spódniczkami, przeszła przez garderobę.

– Szepska! wyrzuj-no za nimi.

Szepska się wysunęła, ale powróciła natychmiast.

– Poszli na dół.

Dzwonek zadźwięczał gwałtownie na scenie.

– Na scenę! – zawołał we drzwiach inspicjent. – Zaraz zaczynamy.

Zrobił się gwar nie do opisanego. Krzyczały wszystkie razem, biegały, wrywały sobie szpilki, żelazka do włosów, przypudrowywały się, kłóciły o bagatelki, gasiły świece, zamykały pośpiesznie nesesery i zbiegały hurmem, bo już drugi dzwonek zadźwięczał.

Janka zesza ostatnia i stanęła w kulisie.

Przedstawienie się zaczęło.

Grali jakąś napoły czarodziejską operetkę.

Nie poznała po prostu ani tych ludzi, ani teatru – tak to się wszystko przeistoczyło, wypiękniało pod pudrem, szminką i światłem!...

Muzyka cichymi, pieściwymi tonami fletni, połała się z ciszy, w jakiej stanął teatr i wciskała się do jej duszy, kołysząc ją słodko... a potem taniec... jakiś miękki, zmysłowy, upajający, obwijał ją czarem, kołysał i pociągał na fali rytmu, przenikającego rozkoszną niemocą...

Czuła się coraz bardziej pociągana w jakiś wir pełen światła, śpiewów i błyskawic. Jej gwałtowną i zmysłową naturę, szamocącą się dotychczas pośród szarych ludzi i codzienności pospolitej, olśniewał ten teatr.

Takim go prawie miała w duszy, pełnym światła, muzyki, akcentów denerwujących, omdleń ekstatycznych, barw silnych, uczuć wrzących i wybuchających, niby pioruny.

Nie było tutaj tego wszystkiego, ale jej wyobraźnia entuzjastyczna tknęła z tych strzępów widzianych światy stokroć piękniejsze i olśniewała się pięknem własnego dzieła. Fłażolety skrzypiec przenikały ją ostrym dreszczem niewysłowionej rozkoszy i zalewały ciepłem denerwującym.

Zdawało się jej, że ogląda stare baśnie ludowe, że jest jakby w kole nimf i rusalek, że te grubo wymalowane kobiety, tańczące na zakredowanym płótnie bachanckie „pas” z zacięciem szansonistek, są cieniami fantazyi, tańczącymi gdzieś, w głębi wód... Elektryczne światło rozlewało jakąś mgłę błękitną, ledwie dojrzaną i skrzyło się ogniem brylantów na złotych blaszkach, obsypujących kostyummy tancerek.

Dusząca woń rozpylonego pudru owiewała ją niby obłokiem, a z sali pełnej płynął potok oddechów gorących, spojrzeń pożądliwych i uderzał w scenę magnetyczną falą, zatapiającą w zapomnieniu wszystko, co nie było śpiewem, muzyką i rozkoszą.

Teatr zaczął przybierać dla niej coraz więcej kontury halucynacji na jawie.

Gdy się akt skończył i zagrzmiała ulewa braw, omdlewała prawie... Pochyliła głowę, chciwie wchłaniając te szmery, podobne do błyskawic i, jak one, oslepiające duszę. Piła te krzyki rozbawionej publiczności całą piersią i mocą duszy, łaknącej sławy. Przymykała oczy, aby to wrażenie, ten obraz trwał dłużej.

Zdawało się jej, że unosi się w zaświaty, że zerwała ze wszystkim, co małe, nędzne, codzienne i otrzeźwiła się, usłyszawszy gwar głosów, na scenie, sprzątej pośpiesznie.

Czarodziejskie widzenie rozwiało się. Po scenie kręcili się ludzie w koszulach tylko, bez kamizelek; zmieniali kulisy, ustawiali meble, przybijali przystawki, pracowali pośpiesznie; zobaczyła karki brudne, twarze pomięte, brzydkie, ręce grube i spracowane, postacie ciężkie robotników.

Przesunęła ręką po czole, jakby chcąc się przekonać, czy nie śniła teraz właśnie; ale ktoś ją odsunął, ktoś odepchnął, ktoś przeszedł śpiesznie obok, ciągnąc za sobą ciężki sprzęt...

Poszła na scenę i przez otwór w kurtynie przyglądała się sali czarniawej, nabitej publicznością. Widziała setki głów młodych, głów kobiecych, uśmiechniętych, podnieconych jeszcze muzyką, wachlujących się z wdziękiem i swobodą; mężczyźni czarnymi strojami tworzyli plamy, regularnie rozrzucone na jasnym tle tualet.

Przypatrywała się uważnie tej publiczności, którą miała za areopag potężny i ostateczny w dziedzinie sztuki – areopag, który dawał brawa, powodzenie, sławę – lub potępiał...

Pamiętała jeszcze doskonale pokorne opowiadania Kręskiej o publiczności. Ślizgała się ciekawie po wszystkich twarzach, ustach, spojrzeniach, jakby chcąc odgadnąć, co mówią o sztuce i artystach – ale słyszała tylko beładnie grzmiący gwar głosów, niby na jarmarku, czasem śmiech głośny, to brzęk kufli pod werandą, lub głośnie wołanie:

– Garson! piwa!

Poczuła jakiś zawód jeszcze większy, gdy zobaczyła, że ta publiczność ma twarze podobne zupełnie do Grzesikiewicza, do ojca, do znajomych z okolicy, do przełożonej pensyi, do profesorów z gimnazjum, do telegrafisty z Bukowca.

Na razie wydało się jej to wprost niemożliwym.

Jakto?... wiedziała przecież, co ma myśleć o tamtych; poklasyfikowała ich dawno: na kretynów, głupców, płaskich, gęsi, pijaków, plotkarki, kwoki gospodarskie; na dusze małe i płytkie, na bandę zwykłych zjadaczy chleba, tonących w płytkim bagnisku spraw odżywiania się i wegetacji.

I ci ludzie, co zapełniali teatr i bili oklaski, o których dawniej myślała, jak o półbogach, mieliby być tem samem, czem tamci? – pytała siebie, znajdując w nich coraz więcej cech podobieństwa...

Miała wielką intuicyę, wysubtelnioną samotnością, którą widziała wiele rzeczy.

– Pani! – powiedział ktoś obok niej.

Oderwała twarz od kurtyny. Z boku stał młody, przystojny, elegancki młodzieniec; dotykał runda cylindra i uśmiechał się szablonowo.

– Na chwileczkę tylko... – powiedział.

Usunęła się trochę.

Popatrzył na ogródek i odstąpił.

– Przepraszam... bardzo przepraszam...

– O, proszę pana, napatrzyłam się dosyć...

– Niezbyt zajmujący widok, co?... Filisterstwo najautentyczniejsze; korzenniki i szewcy!...

Pani może myśli że oni przyszli słuchać, myśleć lub podziwiać sztukę?... O nie!... przyszli pokazać się, pochwalić strojami, zjeść kolację i zabić jakoś czas...

– Więc któż przychodzi na sztukę tylko? kogo ona tylko obchodzi?...

– Tutaj, pani, nikt!... Do Wielkiego, do Rozmaitości... tam się jeszcze znajdzie garstka, bardzo zresztą niewielka, ludzi, miłujących sztukę i tylko dla niej samej przychodzących do teatru. Podnosiłem już nieraz w pismach tę kwestyę.

– Redaktorze, dajcie-no papierosa! – zawołał jakiś aktor z kulisy.

– Służę... – i podał z bardzo łaskawą miną srebrną papierośnicę w kształcie notesu.

Janka odsunęła się nieco i spoglądała na redaktora z ciekawością i szacunkiem. Ona tych ludzi znała ze słyszenia tylko, z poważania, jakim ta godność otoczona jest na prowincyi, więc sobie urobiła w myśli jakiś idealny typ człowieka, który jest streszczeniem cnót ogólnych i wykładnikiem myśli powszechnych, w którym musi się ogniskować talent, rozum i szlachetność.

Patrzyła z podziwem na niego, zadowolona, że mogła z bliska poznać takiego człowieka.

Ileżto razy na wsi, słuchając wiecznie tych samych rozmów: o gospodarstwie, kłopotach, polityce, deszczach i pogodach, marzyła o tym innym świecie, o ludziach, którzy jej mówić będą o ideach, o sztuce, o ludzkości, o postępie i o poezji – i którzy te wszystkie hasła, jakimi się świat karmi i dąży za nimi, uosabiają w sobie.

Pragnęła teraz, aby ten redaktor nie odszedł jeszcze i mówił z nią chwilę. Redaktor istotnie zwrócił się do niej.

– Pani musi być niedawno w towarzystwie, bo nie miałem szczęścia jej widzieć?...

– Dzisiaj się dopiero zaangażowałam.

– Grywała pani przedtem?...

– Nie, na prawdziwej scenie nigdy!... Grywałam tylko w teatrze amatorskim.

– Tak zaczynają prawie wszystkie talenty dramatyczne. Znam to, znam!... wspominała mi nieraz o tem samem Modrzejewska – powiedział, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Redaktorze... do swoich czynności! – zawołała Kaczkowska, wyciągając ręce.

Redaktor zapiął guziczki rękawiczek, pocałował kilkakrotnie każdą rękę, dostał klapsa i znów się cofnął pod kurtynę.

– Więc pani pierwszy raz?... Prawdopodobnie rodzina... opór... niezłomne postanowienie... zabita deskami prowincya... pierwszy występ amatorski... trema... powodzenie... poczucie w sobie Bożej iskry... marzenia o prawdziwej scenie... łyzy... noce niespane... walka z otoczeniem... wreszcie pozwolenie... a może potajemna ucieczka w nocy... strach... niepokój... chodzenie do dyrektorów... angażowanie się... zachwyty... sztuka... boskość! – mówił szybko stylem telegraficznym.

– Prawie, że odgadł pan redaktor... tak samo było ze mną.

– Widzi pani, od razu poznałem. Intuicyja to wszystko! Weźmiemy panią w opiekę, słowo!... Zrobi się małą wzmiankę, potem da się trochę szczegółów pod sensacyjnym tytułem, potem artykuł większy o nowej gwiazdzie na horyzoncie sztuki dramatycznej – leciał pośpiesznie – zrobi się rumor, dziwowisko!... ludzi się porwie... dyrektorowie będą sobie wydzierać panią, a po jakim roku lub dwóch... teatr warszawski...

– Ależ, panie redaktorze, przecież nikt mnie nie zna; nikt jeszcze nie wie, czy mam talent jaki na scenę...

– Ma pani talent, słowo! Intuicyja mi to mówi: zmysłom pani nie wierz, od rozumowań trzymaj się z daleka, rachunek wyrzuć precz, ale intuicyji wierz!...

– Chodź-no redaktor prędzej!... – zawołano na niego.

– Do widzenia! do widzenia!...

Przesłał od ust pocałunek, dotknął palcem róna i wybiegł.

Janka wstała, ale też sama intuicyja, której zalecał słuchać, mówiła jej, aby jego słów nie brać na seryo.

Wydał się jej jakimś lekkim i za pośpiesznie sądzącym; ta obietnica wzmianek, artykułów, zapewnienia o talencie, wydały się jej dziwactwem. Twarzą nawet, ruchami i szczebiotem, przypominał jej Józia, słynnego w okolicach Bukowca motyla i błagiera.

Zaczął się drugi akt przedstawienia.

Przyglądała się, ale jakoś bez entuzjazmu, już ją nie porwał tak jak pierwszy. Była niezadowolona z siebie, że chłódła i nie mogła wpaść w ekstazę.

– Jakże się pani podoba nasz teatr?... – zapytała ją owa brunetka z chórów.

– Bardzo – odpowiedziała.

– Ba, teatr, to niby dzuma: jak kogo złapie, to już amen!... – szepnęła brunetka twardo.

Za kulisami, w prawie ciemnych przejściach za dekoracyami, pełno było osób.

Aktorzy stali w przejściach, jakieś pary tańczyły w ciemnościach; szepty, dyskretne śmiechy rozlegały się wszędzie.

Inspicyent, stary, łysy, w kamizelce tylko i bez kołnierzyka, ze scenariuszem w jednej ręce i dzwonkiem w drugiej, przebiegał ciągle głęb sceny, we wszystkich kierunkach.

– Na scenę!... Zaraz pani wchodzi!... wejść – wołał spocony, rozgorączkowany i znowu leciał, ściągał z garderób potrzebnych mu do wejścia na scenę, stawiał ich prawie przed drzwiami, z tyłu lub z boków sceny, słuchał, co mówią na scenie, patrzył przez szpary płóciennych drzwi i w odpowiedniej chwili szeptał:

– Wejść!

Janka widziała, jak się rozmowy przerywały nagle, odbiegali w połowie frazesu, stawiali niedopite kufle, rzucali wszystko i biegli do wejść, czekając swojej kolei nieruchomi i milczący, albo rozdenerwowani szeptali słowa roli, wchodzili w charakter; widziała drżenie warg, drganie nóg i powiek, bladeść nagłą pod warstwą szminek, rozpalone tremą spojrzenia...

– Wejść! – rozległo się niby trzaśnięcie z bata.

Prawie każdy drgnął gwałtownie, oblekał twarz piorunowo w odpowiedni nastrój, żegnał się po kilka razy i wchodził.

Ile razy się drzwi otworzyły ze sceny, tyle razy dreszczem denerwującym przejmowała Jankę ta falapiwnego ognia, pełnego spojrzeń i oddechów, płynąca ku niej od publiczności.

Zaczęła się znowu przejmować i wpadać w halucynacje: te mroki, barwy jaskrawe, wynurzające się gwałtownie z cieniów, opłynięte światłem, dźwięki muzyki niewidzialnej, echa śpiewów, rozwłóczące się po ciemnych zakątkach, przyciszone stąpania, szelesty dziwne, ludzie porwani gorączką, oczy płonące, rozdenerwowanie ogólne, oklaski grzmiące, niby ulewa oddalona, smugi olśniewającego światła, mgła ciemności; tłok ludzi, brzmienie słów patetycznych, okrzyki tragiczne, wzruszenia pełne łkań, jęki, płacze, cała melodrama, pompatycznie i krzykliwie odgrywana, wszystko to przepajało ją gorączką jakąś inną, niż była w pierwszym akcie, gorączką energii i czynu; grała ze wszystkimi, cierpiała z tymi papierowymi bohaterami, niepokoiła się z nimi, kochała, jak i oni; czuła treść przed wejściem, słaniała się z rozkoszy w pewnych chwilach i momentach gry patetycznej; pewne słowa i okrzyki przenikały ją dreszczem, tak dziwnym i tak bolesnym, że miała łzy w oczach i krzyk słaby na ustach.

W antraktach wracała do równowagi i do rozmyślań.

Coraz więcej osób z publiczności przychodziło za kulisy.

Pudełka cukierków, bukiety, pojedyncze kwiaty, przechodziły z rąk do rąk.

Pito piwo, wódkę, koniaki; zjawiała się taca kanapek w lot rozchwypanych.

Wybuchwały śmiechy swobodne, cięte dowcipy pękały niby race w powietrzu. Niektóre z chórzystek przebierały się w zwykłe suknie i szły na ogródek.

Widziała aktorów w białiznie tylko, łączących przed garderobami; kobiety w spódniczkach białych, w połowie rozcharakteryzowane, z ramionami nagimi, wbiegały na scenę, patrzeć przez kurtynę na publiczność. Cofały się niby zgorszone, ujrawszy obcych. Krzyczały, a uśmiechały się zalotnie i uciekały, rzucając wyzywające spojrzenia.

Garsoni z restauracji, służące, maszyniści, biegali jak charty i co chwila było słyhać:

– Sowińska!

– Krawiec!

– Rekwizytor!

– Spodnie i pelerynę!

– Laskę na scenę i list!

– Wicek!... leć po dyrektora, niech przychodzi się ubierać do ostatniego aktu!

– Ustawiać scenę!

– Wacek!... przyslij mi karminu, piwa i butersznyt!... – wołała jakaś przez scenę do mężczyzn.

W garderobach chaos, gwałtowne i pośpieszne przebieranie się, gorączkowa charakterystyka roztopionemi prawie od ciepła szminkami, kłótnie...

– Jak pan będziesz mi przechodził przed nosem na scenie, to, jak Boga kocham, kopnę!...
– Kopniesz pan psa swojego!... Mnie tak z roli wypada... przeczytaj pan!
– Pan umyślnie mnie zasłaniasz!
– A co!... wyrząłem i szmerek był...
– Wiatr zaszumił, a temu się zdaje, że miał szmerek.
– Był szmerek... oburzenia, boś się sypał, jak zwierzę.
– Jak się nie sypać, kiedy Dobek tak sufluje, że niech go drzwi ścisną!...
– Pan gadaj, to wtedy ja przestanę... zobaczymy, jak będziesz wyglądał!... Kładę słowo po słowie w uszy, jak łopata, nic!... krzyczę już, że Halt aż kopie w scenę... a ten znowu stoi!
– Ja zawsze umiem doskonale; pan mnie umyślnie „kłudziesz”.
– Pan nie zawrócisz w głowie umieniem! – zawołał któryś z żydowska.
– Krawiec! pas, szpadę i kapelusz... prędzej!
– „...Maryo! jeśli powiesz: odejdz... pójdzie ze mną noc, cierpienia, samotność i łzy... Maryo! czy nie słyszysz mnie?... to głos serca, kochającego cię... to głos...” – mówił Władek, chodząc z rolą po garderobie i gestykulując potężnie, głuchy na wszystko, co się wkoło niego działo.
– Nie krzycz-no Władek!... na scenie dosyć się wydrzesz i wyjęczysz, że aż uszy zabolą...
– Zdaje mi się, że temu młodzieńcowi, po zaniku wszystkich władz, pozostał tylko organ mowy.
– Ryku, powiedz...
– Panowie! nie widzieliście czasem Piotrusia?... – zapytała charakterystyczna, wsadziwszy głowę.

– Panowie, zobaczcie, czy gdzie pod stołem nie siedzi Piotruś?
– Proszę pani... Piotruś poszedł do gabinetu z jakąś bardzo ładną facetką.
– Zamorduj go pani!... niewierny!
Leciały odpowiedzi, podkreślane śmiechem.
Charakterystyczna zniknęła i już z drugiej strony sceny było słyhać, jak pytała się wszystkich:
– Niema tutaj Piotrusia?
– Ona się kiedy wścieknie z zazdrości o niego!...
– Porządna kobieta!
– Nie przeszkadza to, że jest głupia ze swoją zazdrością o człowieka najspokojniejszego w świecie.

– Jak się masz redaktor!
– O, redaktor!... to jakby już było piwo i papierosy.
– Mecenas! dobry wieczór!...
– Co tam w kasie słyhać?
– Pysnie!... teatr wyprzedany, bo Gold pali cygaro.
– Chwała Bogu! będą większe akonta.
– Bolek! jak się masz?... Nie wchodź, bo się roztopisz, jak masło... mamy małą Afrykę dzisiaj...
– Zaraz się ochłodzimy, już zamówiłem piwo...
– Na scenę wszyscy!... Lud na scenę! kapłani na scenę! wojsko na scenę!... – krzyczał inspicjent, biegnąc po garderobach.

Po chwili, prócz osób z publiczności, nie było już nikogo, wszyscy pobiegli na scenę.

Po przedstawieniu, Janka idąc do hotelu, uczuła się ogromnie znużoną tyloma wrażeniami. Pokój hotelowy wydał się jej jeszcze nędzniejszym, a tak pustym i nudnym, że natychmiast poszła spać, ale zasnąć nie mogła.

W mózgu czuła szum, resztki krzyków, majączenia obrazów, błyski barw, lub rozstrzępione frazy muzyczne; czuła, że ma w sobie cały ten wieczór, spędzony w teatrze. Chciała myśleć o domu, o Bukowcu, ale te wspomnienia, siłą wywłócone, szybko ustępowały miejsca innym, nowym.

Przeszłość zaczęła blednąć, jakby się odrywała, staczając w jakąś noc zapomnienia; patrzyła się to nią przez pryzmat dzisiejszych wrażeń i wydawała się jej jakąś obcą, szarą ogromnie, wiejącą chłodem, że rodzaj politowania miała dla siebie samej w duszy. Zapadała w półsen, z którego budziły ją brawa, śmiechy i muzyka... Siadała na łóżku, rozglądając się po pustym pokoju, zabarwionym słabymi zorzami przedświt, sączącemi się z nad dachów kamienic.

Albo spała dłużej i śniło się jej, że słyszy huk pociągów, przebiegających pod oknami, głosy dzwonek elektrycznych; trąbki dróżników sygnalizowały pociąg osobowy.

– Z Kielc, osobowy!... – myślała i widziała pomocnika ojca, jak w białych rękawiczkach, opięty, sztywny, chodzi po peronie.

Przerywały się jej marzenia i mieszały... Widziała ojca, to znowu zdawało się jej, że śpi, czuła, że zaraz wstać musi, bo słońce czerwoną tarczą wisiało na niebie i ostre jego promienie paliły ją po twarzy.

– Jeszcze trochę... jeszcze trochę!... – prosi kogoś i czuła się ogromnie senną... ogromnie!...

Krzyknęła przez sen, bo ujrzała tego Fauna z Łazienek; był tak samo wykrzywiony i drwiący – i tańczył, a pod nim, niby wizye stłoczone, kłębił się teatr: Cabiński, redaktor, Sowińska, wszyscy!... a Faun tarzał się po ich ciałach, tańczył po ich głowach, miał płaszcz gronostajowy na ramionach i powiewając nim, śmiał się długo, bezustannie, a ci ludzie pod nim gnietli się, krzyczeli, oczy płakały, wyciągnięte ręce chciały chwytać za płaszcz, usta rozchylone błagały i wszyscy przybierali jakieś straszne larwy na twarze... Czuła, że i ją porywa ten wir, że mu się broni, ale te ręce ją chwytają... że już kołuje się z nimi...

Było to już po dziewiątej, gdy się obudziła, zmęczona i prawie bezprzytomna; nie mogła zrozumieć na razie, gdzie jest i co to za pokój?...

Ale rychło myśli jej wróciły do równowagi. Przypomniała sobie wszystko po kolei i to, że ma dzisiaj dostać role z chórów. Ubrała się śpiesznie.

Nie czuła w sobie nic z wczorajszych gorączkowych uniesień, ale czuła cichą radość i zadowolenie z tego, że już jest w teatrze. Czasami, na ten jasny ton jej nastroju kładł się cień jakiś, jakieś przeczucie, czy przypomnienie bezwiedne z przyszłości; było to majaczenie czegoś nieprzyjemnego, co choć zniknęło, ale zostawiało w głębi duszy ślady drażniące.

Wypiła śpiesznie herbatę i już miała wychodzić, gdy zapukano delikatnie do drzwi.

– Proszę! – zawołała.

Weszła stara żydówka, ubrana przyzwoicie z ogromnem pudłem pod pachą.

– Dzień dobry paniencie!

– Dzień dobry! – odpowiedziała, zdziwiona tą wizytą.

– Może panienska co kupi?... Mam dobre, tanie towary. Może co z biżuterie?... Może rękawiczki, śpilki do włosów, masyw, srybne! może co?... Mam różny towar, na różne ceny, a wszystko doskonałe, paryskie!... – trzepała prędko, rozkładając zawartość pudła na stole, a małe jej, czarne oczki, o ciężkich powiekach czerwonych, niby oczy jastrzębia biegały po pokoju, rozglądały wszystko.

Janka milczała.

– Co to szkodzi zobaczyć... – nalegała żydówka. Mom tanie rzeczy i ładne rzeczy! A może wstążki, koronki gipiurowe, pończochy?... może chusteczek jedwabnych?...

Janka zaczęła rozglądać rozłożone przedmioty i wybrała parę łokci jakiejś wstążki.

– Może i mama co kupi?... rzuciła na domysł, patrząc się uważnie.

– Sama jestem.

– Sama? – cmoknęła przeciągle, przymrużając oczy.

– Tak, ale tutaj mieszkać nie będę – powiedziała, usprawiedliwiając się niejako.

– Możebym ja nastęrczyła mieszkanie?... Ja znam jedną wdowę, co una...

– Dobrze – przerwała jej Janka – niech pani poszuka dla mnie pokoju przy rodzinie, na Nowym-Świecie, blisko teatru...

– Panienska z tyjnatru?... a!...

– Tak.

– Może jeszcze co potrzeba?... Mam śliczne rzeczy i do tyjnatru.

– Nie, już nie potrzebuję.

– Tanio sprzedom... na moje sumienie, tanio!...w sam raz do tyjnatru.

– Nic mi nie potrzeba.

– Żebym tak zdrowa była, tanio!... Taki psi czas...

Złożyła do pudełka wszystko i przysunęła się bliżej.

– Może jabym... co zarobiła?...

– Kiedy nic nie kupię, bo mi nie potrzeba!... – odpowiedziała Janka już zniecierpliwiona.

– Tu nie o to chodzi!

Popatrzyła się na nią uważnie i zaczęła szybko szeptać:

– Ja znam ładne, młode mężczyzny... panienska wi?... bogate mężczyzny!... To nie mój fach, ale uny mnie prosily... Uny same przyjdą. Bogate, śliczne mężczyzny.

– Co! co?!... – krzyknęła, zaledwie śmiejąc uwierzyć własnym uszom.

– Po co panienska krzyczy?... możemy po cichu interes zrobić!... a ja mam taki feler w sercu, co...

– Wynoś się, bo służby zawołam – krzyknęła, w najwyższym oburzeniu.

– Jaka gorącość!... Kupić nie kupić, potargować można. Ja znałam nie dziesińć takie same w początku, a późni, to uny Salkę w rękę całowały, coby je tylko zaprowadzić do kogo...

Nie skończyła, bo Janka otworzyła drzwi, schwyciła ją za kark i wyrzuciła na korytarz, a za nią poleciało natychmiast pudełko z towarem.

Drzwi zamknęła na klucz i dopiero stanęła na środku pokoju, uprzytomniając sobie treść jej słów.

Usiadła potem i siedziała długo w jakiejś bezradności i opuszczeniu. Dopiero teraz poznała, że jest samą zupełnie i że w tem nowem życiu musi wystarczyć sama sobie, że tutaj niema ojca, ani znajomych, którzyby ją mogli zasłonić od takich scen i ludzi; że ta walka życia, jaką rozpoczynała, nie jest tylko walką o sławę i wyższe cele, że musi walczyć o swoją godność ludzką i – jeśli nie chce zginąć – musi się bronić.

– To tak jest na świecie! – myślała, idąc do teatru i zdawało się jej, że już przejrzała, że życie niewiele może mieć dla niej niespodzianek i goryczy, ponieważ już tyle doświadczyła.

Spotkała Sowińską pod werandą – i zaraz, jak tylko mogła najuprzejmiej, prosiła ją, czy nie wie o jakim pokoju do wynajęcia przy familii, bo zrozumiała, że w hotelu z wielu względów mieszkać nie może.

– A to się dobrze składa!... Jeżeli pani zechcesz, to u nas jest pokój. Możemy go pani odstąpić z całodziennem utrzymaniem, niedrogo. Pokoik ładny, na dole, okna na południe, z osobnem wejściem z przedpokoju...

Umówiły się o cenę. Janka powiedziała, że może zapłacić za miesiąc z góry.

– Zgoda! Będzie pani u nas cicho, bo córka nie ma dzieci... Chodźmy go obejrzeć.

– To już chyba po próbie; a jeśli pani nie ma czasu czekać, to niech mi pani zostawi adres... ja trafię.

Sowińska dała jej adres i poszła.

Jance wręczono nuty i już brała udział w próbie, śpiewając z nich.

Nikt ją nikomu nie przedstawiał, ale zwróciła uwagę wszystkich, bo Kaczkowska chciała, żeby Halt poszedł z nią do fortepianu akompaniować.

– Daj mi pani spokój! nie mam czasu! – odpowiedział.

– Jeżeli pani chce, to możebym ja akompaniowała, jeśli z nut?... – zaproponowała jej Janka.

Kaczkowska pociągnęła ją żywo do owego gabinetu z fortepianem i coś z godzinę mordowała; ale całe towarzystwo zainteresowało się bardzo chórzystką, umiejacą grać na fortepianie.

Później Cabińska rozmawiała z nią dosyć długo i prosiła, żeby przyszła do nich do mieszkania, jutro, po próbie i pożegnała ją życzliwie.

Janka z teatru poszła prosto do Sowińskiej, oglądać mieszkanie.

IV

„Dyrekcya ma zaszczyt prosić Sz. Artystki i Sz. Artystów Towarzystwa, jakoteż skład orkiestry i członków chórów, o przybycie do lokalu zarządu w dniu 6 b. m. po przedstawieniu, na herbatkę i koleżeńską pogawędkę”. Dyrektor Tow. Artystów Dramatycznych (podpisano), Jan w Oleju Cabiński.

– Co?... dobrze tak będzie, Pepa?... pytał dyrektor, przeczytawszy żonie, mozolnie i z mnogimi przekreśleniami napisane zaproszenie.

– Bogdan! cicho, bo nie słyszę, co ojciec czyta,

– Mamusiu, Edek wziął mi rolę!

– Tatku, Bogdan powiedział, że ja jestem głupi caban!

– Cicho! Jezus, Marya! z temi dziećmi!... Przycisz-że je Pepa.

– Niech mi tatko da dychę, to będę cicho.

– I mnie! i mnie!

Cabiński ścisnął pod stołem szpicrutę i czekał; skoro tylko dzieci zbliżyły się na pewną odległość, skoczył i zaczął je okładać, gdzie trafił.

Podniósł się pisk i wrzask; drzwi się z łoskotem otwierały i młodzi dyrektorowicze z krzykiem zjeżdżali na dół, po poręczach schodów.

Cabiński spokojnie czytał po raz drugi zaproszenie żonie, siedzącej w drugim pokoju.

– Na którą godzinę prosisz?

– Po przedstawieniu, napisałem.

– Trzeba poprosić kogo z recenzentów, ale to już osobne listy, albo ustnie prosić.

– Ja nie mam już czasu, a trzeba porządnie napisać.

– Zawołaj kogo z chóru, niech napisze.

– Ba! strzeli mi jakiego byka, jak ten Karol w przeszłym roku; wstyd miałem później... A może ty Pepa napiszesz?... masz ładny charakter.

– Nie, nie wypada, żebym ja, dyrektorowa i kobieta, pisywała do obcych mężczyzn. Mówiłam tej... jakże się nazywa ta, coś ją zaangażował do chórów?...

– Orłowska.

– Otóż mówiłam jej, aby przyszła dzisiaj. Podoba mi się dziewczyna; coś ma takiego w twarzy, co pociąga. Kaczkowska mówiła, że doskonale gra na fortepianie, więc przyszła mi myśl...

– No, to niech ona napisze; gra na fortepianie, to i pisać pewnie umie.

– Nie tylko to, ale ja myślę, że mogłaby Jadzię uczyć grać...

– A wiesz, że to pomysł!... bo możnaby to policzyć razem z przyszłą gażą...

– Ileż jej płacisz – zapytała, zapalając papierosa.

– Jeszcze się nie umówił... ale tyle, co i innym – powiedział, uśmiechając się dziwnie.

– To znaczy, że...

– Że... bardzo wiele, bardzo wiele... w przyszłości.

– Ha! ha! ha!

Zaczęli się śmiać oboje i zamilkli.

– Jasiu, cóż projektujesz na kolację?

– Jeszcze nie wiem... Rozmówię się dopiero w restauracyi. Jakoś to się tam urządzi...

Cabiński przepisywał na czysto zaproszenie a Pepa paliła papierosa, bujając się na fotelu biegunowym. Po chwili rzuciła niedbale:

– Jasiu!... czyś ty nie zauważył nic w grze Majkowskiej?

– Nic... że trochę spazmuje na scenie, to już jej styl.

– Trochę?... ona epilepsy dostaje; aż przykro patrzeć, jak się wykrzywia i rzuca na scenie. Mówił mi redaktor, że prasa zwróciła na to uwagę.

– Bój się Boga, Pepa! Najlepszą aktorkę z towarzystwa chcesz wygryźć?... Zjadłaś Nicoletę, a była bardzo lubiana i miała swoją galeryę.

– No i tobie się ogromnie podobała; wiem coś o tem.

– Mógłbym ci wymówić choćby tego redaktora, ale że lubię przedewszystkiem spokój...

– Co ci do tego! wtrącam się, jak ty z chórzystkami włóczysz się po gabinetach, co?...

– Ale i ja się ciebie nie pytam, co robisz?... Po co, zresztą, mamy się kłócić?... Tylko Majkowskiej ruszyć nie dam!... Tobie idzie o intrygę, a mnie o byt, przecież dobrze wiesz, że takiej pary bohaterskiej, jak Mela i Topolski, niema nigdzie na prowincyi, niema może i w warszawskim teatrze. Naprawdę, to oni jedni trzymają wszystko!... Melę chcesz wysadzić?... ależ ona ma sympatyę u publiczności, prasa ją chwali... ma talent!...

– Majkowska ma talent?... Zwaryowałaś panie dyrektorze! Majkowska ma histeryę, ale nie talent! – zawołała podniesionym głosem.

– Ma talent!... niech mnie kaczusie zdziobią, ale Majkowska ma ogromny talent. Ze wszystkich kobiet na prowincyi, tylko ona ma talent i najlepsze warunki.

– A ja?... – spytała groźnie, stając przed nim.

– Ty?... ty także masz talent, ale... – mówił ciszej – ale...

– Tu niema „ale”, tylko jesteś skończonym idyotą, panie dyrektorze!... Nie masz pojęcia o grze, o sztukach, o artystkach, a chcesz je rozdzielać na mniejsze i większe... Ty sam jesteś ogromny artysta, ogromny! Wiesz, jak ty grałeś Franciszka w *Zbójcach*? wiesz?... nie! to ci powiem... Grałeś, jak szewc, jak cyrkowiec!...

Cabiński skoczył, jakby go kto batem uderzył.

– Nieprawda! Królikowski tak samo grał; radzili mi, żebym naśladował i naśladowałem...

– Królikowski, tak jak ty?... Jesteś krowienty, mój artysto!

– Pepa cicho, żebym ja ci nie powiedział, czem ty jesteś!

– O, powiedz, proszę cię, powiedz! – wołała ze złością.

– Nic wielkiego, nic nawet małego, moja najdroższa.

– Powiedz wyraźniej, co?...

– No, mówię, mówię, że nie jesteś Modrzejewską – zaśmiał się cicho i drwiąco Cabiński.

– Ty mi nie wyjeżdżaj z temi... z warszawskiego!...

– Nie irytuj się Pepa, że cię wtedy nie dopuścili do debiutu...

– Milcz! Widziałeś?... Słyszałeś, że dzwonią, ale nie wiesz, w którym kościele. Nie chciałam wtedy, jak i teraz nie chcę!... Za bardzo szanuję swoją godność ludzką i artystyczną.

Cabiński śmiał się już głośno.

– Milcz, kłownie!... – krzyknęła, rzucając w niego papierosem.

– Czekaj, czekaj, gabinetowa primadonno – syknął, siniejąc z gniewu.

Zamilkli, bo im nienawiść zatkała gardła.

Cabiński w szlafroku, podartym na łokciach, w bieliźnie i w pantoflach, zaczął biegać wzdłuż pokoju, a Pepa tak jeszcze, jak wstała, nieumyta z wczorajszej charakteryzacyi, nieuczesa, z rozartaganymi włosami, zataczała koła z taką szybkością, że tylko jej biała, brudna spódnica szumiała.

Spoglądali na siebie z wściekłością i groźbą głuchą. Stara ich zawiść współzawodnicza wybuchnęła z całą siłą. Oni się nienawidzili jako artyści, bo sobie wspólnie i niepohamowanie zazdrościli talentu i powodzenia u publiczności.

Kryli się z tem przed sobą starannie, ale mieli w sercach wiecznie krwawiące rany, które lada słowo podrażniało.

Cabiński szczególnie, który znał wartość artystyczną swojej żony, wściekał się nieraz, usłyszawszy, że tę jej nędzną, sztuczną grę, publiczność oklaskuje zawzięcie. Każdy oklask był jakby uderzeniem noża w jego serce; zdawało mu się, że ona jest wprost podłą złodziejką, że te brawa są jego, do niego powinny należeć i tylko on je powinien dostawać. I taka śmie jeszcze mówić mu w

oczy, że grał jak cyrkowiec – on, co czuł w sobie prawie geniusz aktorski, co był pewnym niemal, że gdyby nie klika, to wszystkie role po Królikowskim powinienby grywać w teatrze warszawskim...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.